

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



FOT. HASNOOR, HUSSAIN/AFP/EAST NEWS

Analiza / M3

Czy Donald Trump mądrzeje?

Po akcji Stanów Zjednoczonych w Wenezueli Xi Jinping oraz Władimir Putin mają się czym martwić. Europa powinna natomiast zrozumieć, że mimo wszystko to nie Trump jest jej głównym problemem
tłumaczy Witold Sokała

Świat / M5

Wenezuela, poligon nowej polityki USA

Amerykańska interwencja nie była wyjątkiem, lecz sygnałem. Doktryna Monroego – przez lata uznawana za relikw XIX w. – wraca jako realna zasada porządkująca relacje na półkuli zachodniej
uważa Krzysztof Katkowski

Wywiad / M16

Spokojnie i na chłodno

Trzeba robić wszystko, by Grenlandia nie stała się pretekstem do konfliktu dwóch państw w ramach NATO mówi Radosław Fogiel

Urbanistyka / M18

Nasz nieład przestrzenny

W mieście jesteśmy społecznością i musimy poświęcić część autonomii jednostki na rzecz dobra wspólnego przekonuje Tomasz Majda



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Może zmielą, a może nie

Jan Wróbel

Szymon Hołownia przegrał? Nie tyle kampanię prezydencką, bo to się zdarza, lecz poległ z ideą. Przegrała wiara w sprawczość sił demonstrujących przywiązanie do demokracji, a krytykujących PO i PiS. Trudno odepchnąć skojarzenia z Macronem. Ten wprawdzie wybory prezydenckie wygrywał, ale w gruncie rzeczy przegrał na tym samym polu, na którym poległ Hołownia. Oba polityczne twory wzbrały się długo przed jasnym wpasowaniem w układ prawica – lewica, objaśniając, że to już przebrzmiało pojęcie. Lekceważąc tę tradycyjną dychotomię, lekcewały także tę nową: prounijnie nastawieni demokraci kontra nacjonalistyczna prawica. Ta druga, wbrew rozmaitym oszczerstwom, także demokratyczna, ale nieporównanie bardziej skłonna do naginania prawa i zaniżania kultury politycznej. En Marche! Macrona i Polska 2050 Hołowni, posługując się ładnymi nieraz hasłami o gruntownej przebudowie życia politycznego niosącej poprawę jakości francuskiej/polskiej polityki, w istocie zaproponowały tylko lifting starego układu.

Ten układ stary... nie był taki znowu zły, ale nasze wybory z 2015 r. rozpoczęły odwrót od wielu pewników

III RP. Na plus tego okresu trzeba zaliczyć, że dobrze się czująca elita stanęła oko w oko z wyborem przez lud elity nowej. Na minus, że nowa elita usprawiedliwiała nawet najbardziej oczywiste przykłady politycznej małości i pazerności w ten sposób: święci nie jesteśmy, ale spojrzcie tylko, jak dajemy popalić poprzednikom. Gdyby brać na poważnie propagandę mediów związanych z władzą tamtych lat, można by pomyśleć, że Zjednoczona Prawica daje popalić gnębielom ludu polskiego wiszącym u niemieckiej klamki w zamian za nieokreślone możliwości lupienia królewskiego szczepta Piastowego.

Na tym tle partia Hołowni wypadła błado. Będąc w koalicji, nieraz proponowała zmiany prawne kierujące kraj w stronę dobrych politycznych praktyk. Stawiała na przedsiębiorczość, jakoś tam próbowała ograniczyć kołesiosstwo itp. Drobne kroki nie dały jednak wrażenia, że ma prawdziwy plan na Polskę. Konfederacja, jak się zdaje na wyrost, przynajmniej w kategoriach wizerunkowych postrzegana jest jako ta, która plan ma. Rada dla aktywu Polski 2050? Nie idźcie do KO, w której was zmielą, negocjujcie z Konfederacją, gdzie może was zmielą, a może nie. ©



FOT. MAXIM SHIPENKOV/EPA/PAP

Gospodarka / M11

Jak Moskwa zarządza zasobami

Model dystrybucyjny zapewnia kontrolę nad biurokracją i gwarantuje dochód zausznikom bez utraty kontroli nad nimi pisze Kacper Wańczyk

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Plące:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczek (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Członek Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 22 530 42 06

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
© – znak odpłatności;
©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

WIELKI TYTUŁ

Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Czy Trump mądrzeje?



FOT. JOHN MCDONNELL/GETTY IMAGES

Po akcji USA w Wenezueli Xi Jinping
oraz Władimir Putin mają się czym martwić.
Europa powinna natomiast zrozumieć, że mimo wszystko
to nie Donald Trump jest jej głównym problemem

Witold

Sokała

Donald Trump spotyka się z falą krytyki za samo porwanie i wywiezienie Nicolasa Madury. To lekka hipokryzja – gorsze rzeczy robił seryjnie Związek Radziecki, bez grzechu nie są też Francuzi mający spore doświadczenie w siłowym pozbywaniu się niewygodnych dla Paryża przywódców w Afryce. Swoją drogą, porwanie i postawienie delikwenta przed sądem, na oczach wolnych mediów, i tak wydaje się bardziej cywilizowanym rozwiązaniem niż potajemne pozbawienie życia, nierzadko rękami wynajętych zbirów. Krytyka spada jednak na Amerykanów jeszcze z innego powodu – za to, że zamiast zainstalować u władzy wenezuelską opozycję i jej emigracyjnych liderów, Waszyngton próbuje dogadywać się z ludźmi ancien régime'u. To ciekawy paradoks, bo Trump robi przecież (z grubszą) właśnie to, czego nie zrobił na przykład George W. Bush w Iraku od razu po obaleniu Saddama Husajna i za co też był mocno krytykowany. Amerykanie musieli bowiem odkręcać błędy i nadrabiać te zaległości dużo później, zapłaciwszy po drodze bolesną cenę. A to dlate-

go, że ich pierwotni wybrańcy okazali się mocni tylko w gębie, faktycznie niezdolni do zarządzania krajem, a z kolei urzędnicy i oficerowie ze środowisk dawnej partii BAAS, wyrzuceni poza nawias, chcąc nie chcąc, włączali się w działania islamistycznych milicji, nawet tych proirańskich, służąc im swoją wiedzą i doświadczeniem.

Tym razem Amerykanie grają inaczej. Przede wszystkim, zamiast najeżdżać kolejne państwo przy pomocy wojska, zdobywać terytorium, a potem brać bezpośrednią odpowiedzialność za zarządzanie nieuniknionym głębokim kryzysem, usunęli tylko lidera, wysyłając przy tym mocny sygnał jego wewnętrznym i zewnętrznym sojusznikom. Zdestabilizowali więc i osłabili reżim, ale go nie zlikwidowali. Chociaż, przynajmniej teoretycznie, mogli. Dysponują przecież wystarczającą przewagą wojskową, wywiadowczą i ekonomiczną.

Triumf cynizmu

Ktoś powie: i tak będzie konieczny ciąg dalszy. To oczywiście niewykluczone. Można się również zgodzić, że obecna taktyka USA jest paskudna moralnie. Ale warto zauważyć, że może się oka-

zać całkiem efektywna politycznie. Ci członkowie ekipy Madury, którzy pozostali w Caracas, nie mają teraz ani możliwości, ani zapewne nawet chęci knucia z Chinami czy Rosją, najeżdżania na sąsiednią Gujanę (a warto pamiętać, że obalony dyktator miał takie pomysły) oraz wspierania antyamerykańskich ruchów w regionie. Zajmują się za to intensywnym kombinowaniem, jak przetrwać w nowych warunkach. Porównajmy: poplecznicy Saddama 20 lat temu nie mieli innej opcji, niż tylko strzelać do Amerykanów, i to amunicją dostarczaną choćby przez diabła. Wczorajsi poplecznicy Madury właściwie nie mają zaś innego wyjścia niż podporządkować się USA – w niepełnej nadziei, że w zamian uniosą z zamieszania nie tylko głowy, lecz także wpływy i fortuny.

Taka gra ma charakter win-win. Z punktu widzenia USA ów układ jest znacznie bezpieczniejszy niż inwestowanie w liderów demokratycznej opozycji. Możliwe, że znaczenie ma tutaj także osobista zazdrość Donalda Trumpa – bo María Corina Machado dostała Pokojową Nagrodę Nobla, a on wciąż może o niej tylko marzyć. Ale z tego, co już wiemy, i tak wynika, że to nie tylko prywatne fobie prezydenta USA miały zna-

czenie – CIA zrobiła porządną analizę, na bazie wielomiesięcznego rozpoznania wywiadowczego, z której wyszło, że to ludzie starego reżimu dają lepsze gwarancje realizacji amerykańskich interesów. I to nie z uwagi na swój profesjonalizm (bo on jest akurat mocno wątpliwy), lecz dlatego, że nie mają alternatywy. Jeśli postawią na kooperację z USA, do strefy chińsko-rosyjskiej nie będą już mieć powrotu. Dla Europy zawsze pozostaną nie tylko współwinnymi zbrodni z czasów Madury, lecz także (o zgrozo) marionetkami Trumpa. Podobnie dla wenezuelskiej ulicy, która co prawda miała powody, by nie przepadać za dyktatorem, ale nie pała też miłością do amerykańskich koncernów i służb specjalnych. Pani Machado, a także Edmundo González Urrutia, uznawany przez sporą część wolnego świata i licznych Wenezuelczyków za legalnego prezydenta, mieliby szersze pole manewru. Mogłoby im przyjść do głowy stawianie się Amerykanom, a w dodatku pewnie marudziliby coś o demokracji i prawach człowieka.

Doktryna Donrogo

Delcy Rodriguez, do niedawna prawa ręka (albo nawet szara eminencja) ▷

Madury, która po jego porwaniu została „tymczasowym” prezydentem Wenezueli, nie sprawi takich kłopotów. Niektórzy spekulują, że CIA dogadała się z nią w tej sprawie już wcześniej, a błyskotliwy sukces amerykańskiej operacji wojskowej opierał się nie tylko na wybitnych kwalifikacjach jej bezpośrednich wykonawców, lecz także na zdradzie i celowych zaniechaniach kilku wysoko postawionych funkcjonariuszy reżimu. To całkiem prawdopodobne, a sygnał polityczny jest tym mocniejszy. Każdy, kto myśli teraz o oporze, musi się przede wszystkim zastanawiać, kto obok niego już dawno gra dla przeciwnej drużyny. A gdyby to nie było wystarczająco paralizujące, Amerykanie na wszelki wypadek wysłali jasny komunikat: ich kolejnym celem może być minister spraw wewnętrznych Diosdado Cabello, człowiek kontrolujący rozbudowany aparat przemocy (poza formacjami wojskowymi). Oczywiście, jeśli nie wykaże się wystarczającą gorliwością, by sprostać żądaniom USA.

Sama Rodríguez też podlega presji. „Jeśli nie zrobi tego, co słuszne, zapłaci bardzo wysoką cenę, pewnie wyższą niż Maduro” – zapowiedział Trump. I nie chodzi tu raczej o werbalne pohukiwanie pani Rodríguez ani deklaracje, że Maduro „wciąż jest prezydentem Wenezueli”. Sekretarz stanu USA Marco Rubio ostentacyjnie zlekceważył te wypowiedzi, wskazując, że Waszyngton będzie oceniał „po czynach, a nie po słowach”.

Te zaś, jak na razie, wyglądają na trafiające w amerykańskie oczekiwania. Nie sprowadzają się one wyłącznie do udostępnienia pierwszych partii wenezuelskiej ropy. Skądinąd ta ropa, o której znaczeniu publicznie mówią obecnie Trump i jego liczni współpracownicy, jest bez wątpienia apetycznym bonusem (choć faktycznie czerpanie z niej poważnych zysków i tak muszą pewnie zostać poprzedzone latami żmudnych zabiegów i kosztownych inwestycji). Ale główny cel i sens operacji wykracza poza aspekt komercyjny. Nawet poza strategiczne korzyści związane ze zwiększeniem amerykańskiej kontroli nad globalnym rynkiem ropy. Korzyścią najistotniejszą jest raczej znaczenie kontroli nad półkulą zachodnią. A także wysłanie poważnego ostrzeżenia wszystkim innym przeciwnikom i rywalom Stanów Zjednoczonych. Nieprzypadkowo Donald Trump chwali się teraz „doktryną Donroego”, czyli modyfikacją koncepcji XIX-wiecznego prezydenta Jamesa Monroego. Bo jego doktryna miała swoje ograniczenie, w zamian za wolną rękę w obu Amerykach obiecywała „reszcie świata”, że Stany nie będą się wtrącać w interesy na innych półkulkach. Te czasy jednak minęły.

Kto następny?

Powody do stresu mają więc teraz wszyscy przywódcy krajów latynoamerykańskich, którzy próbują działać wbrew interesom Waszyngtonu. Lula da Silva w Brazylii, Daniel Ortega w Nikaragui, Claudia Sheinbaum w Meksyku czy Gustavo Petro w Kolumbii, a zwłaszcza Miguel Díaz-Canel na Kubie, muszą się mieć na baczności znacznie bardziej niż wczoraj, bo jest już jasne, że nie chronią

Kombinacja brutalnych działań ekonomicznych, rozbijanie wewnętrznej spójności reżimu oraz wsparcie polityczne dla opozycji może zachwiać wieloma tronami

ich ani Karta Narodów Zjednoczonych, ani (co w praktyce dużo istotniejsze) parasol politycznych przyjaciół z Pekinu, o Moskwie nawet nie wspominając. Oczywiście, nie w każdym z tych przypadków w powietrzu wisi dokładne odwzorowanie scenariusza wenezuelskiego, ale kombinacja brutalnych działań ekonomicznych, rozbijanie wewnętrznej spójności reżimu metodami korupcyjno-wywiadowczymi plus odpowiednio dawkowane wsparcie polityczne dla wybranych sił opozycyjnych może równie mocno zachwiać wieloma tronami. Tym bardziej że oprócz kija zapewne zadziała marchewka, czyli demonstracyjne wspieranie polityczne i gospodarcze państw, które postanowią wpisać się w nowy układ dobrowolnie, głosząc i działając zgodnie z amerykańskimi oczekiwaniami, poczynając od Argentyny poprzez Paragwaj i Ekwador po Chile.

Dla Ameryki Łacińskiej – powodzenie wielkiej operacji „Donroe” oznaczać będzie wysoce prawdopodobną perspektywę stopniowego wypierania wpływów chińskich oraz utrwalenia hegemonii USA, ze wszystkimi jej pozytywnymi i negatywnymi skutkami. Dla Europy – chyba kres marzeń o samodzielnym wpływach w dawnych koloniach hiszpańskich i portugalskich, nawet w razie ostatecznego przepchnięcia spóźnionej inicjatywy z tworzeniem strefy wolnego handlu. Dla Rosji – koniec rojeń o efektywnej dywersji na zachodniej półkuli, a dla Chin – bolesny prztyczek w warstwie symbolicznej i utratę sporych pieniędzy, zainwestowanych w ostatnich latach. To prognoza oparta na założeniu, że Pekin nie zdoła szybko zmobilizować sił i środków znacznie większych niż dotychczasowe i nie zaryzykuje zainwestowania ich w powstrzymanie presji na Latynosów ze strony Waszyngtonu. Borykającego się z wieloma dalekimi od rozwiązania problemami wewnętrznymi Państwa Środka raczej nie będzie stać na taki wysiłek ani na taki hazard. Bezpieczniejsze może się okazać przekłnięcie gorczy porażki na tym froncie, pogodzenie się ze stratami finansowymi, a w zamian skupienie się na kierunkach lepiej rokujących. Na pewno na Azji Południowo-Wschodniej, także na post-radzieckim azjatyckim interiorze, a być może na Afryce i na Europie.

Chińska kontra

Dysponując wciąż znacząco mniejszymi atutami niż Stany Zjednoczone, Chiny nadal będą miały spore szanse przynajmniej na pozostanie w grze i na uniknięcie spektakularnej porażki. Żeby oddalić czarne scenariusze, możliwe szybko – czyli być może jeszcze w nadchodzącym roku – Pekin będzie więc chciał osiągnąć wizerunkowe sukcesy rekompensujące mu konieczność

zarzucenia planów latynoamerykańskich. W grę wchodzi tutaj, jako plan minimum, ocieplenie relacji z wybranymi dotychczasowymi sojusznikami Waszyngtonu. Już widać, że na pierwszy ogień idzie Korea Południowa, podatna na to z wielu względów historycznych i politycznych. Następne mogłyby być Filipiny, choć to z kolei wymagałoby znaczącej deeskalacji sporów na Morzu Południowochińskim. Alternatywę stanowi nasilenie szantaży, a nawet sięgnięcie po rozwiązania siłowe, nie tylko wobec Manili, lecz także przeciw Tajpej. Tajwańczycy to wiedzą i natychmiast po amerykańskiej akcji w Wenezueli zaczęli pilnie ćwiczyć przeciwdziałanie analogicznej „operacji dekapitacyjnej”, w której ramach siły ChRL mogłyby porwać polityków rządzących wyspiarską Republiką Chińską.

Z naszego – europejskiego – punktu widzenia najważniejsze będzie teraz to, co Trump zrobi dalej w kwestii Grenlandii oraz wojny rosyjsko-ukraińskiej. Jeśli hipoteza o „mądrzeniu” amerykańskiego prezydenta i jego ekipy jest prawdziwa, to powinien po Wenezueli iść za ciosem, ale tak, by nie konfliktować nadmierne swoich zachodnich sojuszników i nie wypychać ich w łapy Xi Jinpinga.

Odnosnie do Moskwy oznaczałoby to szybkie nasilenie presji na zawarcie pokoju na względnie uczciwych (czyli trwale pozostawiających Ukrainę po zachodniej stronie świata, tworzących jej szansę na długofalowy sukces ekonomiczny i cywilizacyjny) warunkach. Dla Putina to klęska, bo taki scenariusz oznacza przyznanie, że „specjalna operacja wojskowa” po czterech latach rujnujących strat pogorszyła realną pozycję Rosji, co może oznaczać nawet utratę władzy. Ale alternatywą będzie cichy pucz, który załatwi to samo, tyle że znacznie szybciej i bardziej brutalnie. W takim wariantcie, gdyby część rosyjskich elit postanowiła pójść na wariant wenezuelski i dogadać się z Trumpem za plecami Putina, po czym wystawić dyktatora na strzał w zamian za perspektywę własnego bezpieczeństwa i dobrobytu, kozioł ofiarny nie będzie mógł jednak liczyć nawet na proces w Nowym Jorku. Prędkiej na kulę od własnej ochrony albo toksycznej herbatki.

Amerykanie chyba wiedzą, że na zrealizowanie jednego z zarysowanych wariantów – czyli albo zmuszenia Putina do pokoju, albo zastąpienia go kimś rozsądniejszym – nie mają zbyt wiele czasu. I nie chodzi tu nawet o spełnienie wyborczych obietnic Trumpa, zanim amerykański elektorat będzie miał okazję wypowiedzieć się w połówkowych wyborach do Kongresu. Bardziej o to, że przedłużanie obecnego pata służy wyłącznie wzrostowi wpływów chińskich w Rosji, a nawet faktycznej kolonizacji sporej części jej gospodarki przez nowych panów. Ucieczka do przodu w amerykańskim wydaniu staje się więc coraz bardziej prawdopodobna.

Grenlandia lakmusowa

W takim ujęciu problem Grenlandii staje się wbrew pozorom mniej pilny. Właściwie załatwienie sprawy z Rosją oddało bowiem groźbę bezpośrednich działań chińsko-rosyjskich w Arktyce, zmniejszy też relatywnie atrakcyjność grenlandzkiej złóż dla USA. Owszem, jeśli się powiedziało „a”, pewnie i tak przyjdzie kiedyś kolej na następne litery alfabetu, ale można to będzie robić bez zbędnych fajerwerków, tak by amerykański wilk był syty i NATO-wska owca cała, by lud Grenlandii mógł demokratycznie wypowiedzieć się o swej przyszłości (rzecz jasna w jedynie słuszny z punktu widzenia Waszyngtonu sposób), a Duńczycy zachowali godność i w dodatku nieco na tym dealu zarobili.

Niestety, na razie mamy zbyt mało przesłanek, aby takie scenariusze uznać bez zastrzeżeń za realistyczne. Przynajmniej tak samo prawdopodobne jest przeciwne rozłożenie punktów ciężkości, czyli brutalne i szybkie działania na rzecz aneksji Grenlandii przy jednoczesnym pozwalaniu Putinowi na dalszy teatrzyk oszustw i... osuwanie się Rosji w chińską paszczę. Wtedy Stary Kontynent staje się zaś polem wielopłaszczyznowej walki pomiędzy naszymi rodzimymi Bourbonami (którzy chcą, by wszystko zostało tu po staremu, przynajmniej dopóki oni sami nie umrą, bo późniejszy potop nie będzie już przecież ich problemem), rosyjską machiną manipulacji i dezinformacji (starającą się minimalizować skutki strategicznej klęski Moskwy), rosnącymi gwałtownie wpływami chińskimi (bo Europa będzie Pekinowi coraz bardziej potrzebna jako dogodny i wciąż bogaty rynek zbytu, ale też polityczny sojusznik przeciwko USA) a względnie słabymi środowiskami reformatorskimi, które próbują nadać naszym państwom nowe impulsy rozwojowe. Zbyt egoistyczne i brutalne działania Amerykanów, nie tylko w sprawie Grenlandii, oczywiście będą działać podwójnie negatywnie, odbierając tlen autorom niezbędnych, a racjonalnych reform i sprzyjając populizmowi, zarówno tym antyintegracyjnym, jak i federalistycznym.

Na koniec powiedzmy sobie szczerze: to nie Donald Trump wpakował nas w ten paskudny dołek, lecz dekadę naszych własnych, europejskich błędów, grzechów i zaniedbań. Nasze problemy pozostaną, nawet gdy Trumpa już nie będzie. Jego obecne szarże są natomiast dobrą motywacją, by zadbać wreszcie na serio o poprawę stanu europejskiej gospodarki, nauki, demografii oraz zdolności wywiadowczych i wojskowych. ©



Witold Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP



FOT. CHARLES GUERIN/ABACA/EAST NEWS

Wenezuela, poligon nowej polityki USA

Wenezuelski prezydent Nicolas Maduro z żoną prowadzeni do Sądu Federalnego w Nowym Jorku, 5 stycznia 2026 r.

Interwencja USA w Wenezueli nie była wyjątkiem, lecz sygnałem. Doktryna Monroego – przez lata uznawana za relikw XIX w. – wraca jako realna zasada porządkująca relacje na półkuli zachodniej

Krzysztof

Katkowski

3 stycznia amerykańskie służby specjalne dokonały specjalnej interwencji w Wenezueli – w jej wyniku zginęło 40 osób, a dyktator kraju Nicolás Maduro został uprowadzony i przewieziony do Waszyngtonu. Interwencja, co podkreślają liczni eksperci, stanowi naruszenie norm prawa międzynarodowego. Stoi za nią zmiana myślenia o relacjach międzynarodowych w Waszyngtonie – powrót do doktryny Monroego przywróconej do oficjalnego dyskursu politycznego.

Doktryna zmieniała się przez lata wielokrotnie. Teraz Donald Trump dodał do niej kolejny kontekst. Jak argumentował kilka dni temu w „The New York Times” Jack Nickas, dotychczas podejście Stanów Zjednoczonych do regionu miało charakter ideologiczny: w czasie zimnej wojny

była to walka z komunizmem, później – promocja demokracji i wolnego handlu. Zdaniem Nickasa obecny gospodarz Białego Domu zrywa z tym modelem. Jego polityka ma charakter czysto transakcyjny i imperialnie pragmatyczny. Liczy się wyłącznie to, co przynosi bezpośrednio korzyści USA – dostęp do surowców, bezpieczeństwo, rynki zbytu oraz przejęcie kontroli nad polityką strategiczną dla Stanów Zjednoczonych regionów i suwerennych państw.

Doktryna na swoje czasy

Doktryna Monroego z 1823 r. była jednostronnym oświadczeniem pre- ▷

zydenckim, sformułowanym w języku wolności, pokoju i demokracji, ale jednocześnie zawierającym ledwie zawalowaną groźbę reakcji Stanów Zjednoczonych. Ogłosił ją w dorocznym orędziu do Kongresu prezydent James Monroe (mimo że jej autorem był John Quincy Adams, ówczesny sekretarz stanu). Jej celami były: wykluczenie wpływów europejskich, utrzymanie porządku i stabilności oraz zapewnienie dostępu do rynków i surowców. U podstaw doktryny leżała także rasistowska i paternalistyczna postawa wobec Ameryki Łacińskiej postrzeganej jako region niedojrzały politycznie i wymagający nadzoru.

Treść doktryny opierała się na trzech kluczowych zasadach. Po pierwsze, zakazie nowej kolonizacji. Po drugie, zakazie ingerencji (próby narzucania przez państwa europejskie własnych systemów politycznych w Nowym Świecie były traktowane jako zagrożenie dla USA). Po trzecie, nieingerencji Stanów Zjednoczonych w sprawy europejskie. Uzupełnieniem tych zasad była reguła „no transfer” wyrażająca sprzeciw wobec przekazywania terytoriów w regionie – np. Kuby – innemu mocarstwu.

Stany Zjednoczone obawiały się wówczas, że europejskie mocarstwa mogą próbować odbudować panowanie Hiszpanii w Ameryce Łacińskiej. John Quincy Adams sceptycznie ocenił zdolność społeczeństw latynoamerykańskich do funkcjonowania w systemie demokratycznym, lecz jednocześnie zdecydowanie sprzeciwiał się europejskiej interwencji w regionie.

Jak słusznie zauważa w swojej analizie dla „Revista Nueva Sociedad” Reginaldo Nasser z brazylijskiego Pontificia Universidad Católica de São Paulo, doktryna była pierwszym skutecznym przykładem porządku geopolitycznego, który Carl Schmitt opisał pojęciem Großraum – dużej przestrzeni geopolitycznej kontrolowanej przez jedno dominujące państwo roszczące sobie prawo do wprowadzania porządku w regionie. Formalne jej uzna-

nie w art. 21 Paktu Ligi Narodów nie tylko potwierdziło wyjątkową pozycję Stanów Zjednoczonych, lecz także pośrednio otworzyło drogę innym państwom, takim jak Japonia czy Niemcy, do legitymizowania analogicznych roszczeń regionalnych.

Globalny hegemon vs lokalne potęgi

Za prezydentury Woodrowa Wilsona (1913–1921) doktryna Monroe nie miała już chronić jednej strefy wpływów, lecz stać się modelem globalnego porządku opartego na liberalnych zasadach. Wilson łączył ją z polityką otwartych drzwi (ang. Open Door Policy), która zakładała formalną równość warunków handlowych i sprzeciw wobec kolonialnego podziału rynków, w praktyce jednak służyła przede wszystkim ekspansji kapitału amerykańskiego, nie wymagając jednocześnie otwarcia rynku USA na zagraniczną konkurencję. Razem dawało to podstawy do przypisania Stanom Zjednoczonym roli światowego lidera działającego w imię demokracji, liberalizmu i wolnego handlu. W ten sposób to rynek światowy został zdefiniowany jako nowa granica amerykańskiej ekspansji gospodarczej. Uzupełnieniem tej wizji stało się promowanie przez Wilsona sankcji ekonomicznych jako „pokojowej, cichej, lecz śmiertelnej broni”, która miała zastąpić wojnę konwencjonalną. Od momentu wpisania sankcji do systemu Ligi Narodów wojna ekonomiczna stała się jednym z kluczowych instrumentów polityki zagranicznej USA.

Po raz pierwszy od dekad doszło do tak jawnego użycia siły wobec suwerennego państwa w Ameryce Łacińskiej bez próby stworzenia szerokiej narracji ideologicznej czy humanitarnej

W okresie zimnej wojny nastąpił wyraźny powrót do interwencji. Stany Zjednoczone traktowały Amerykę Łacińską jako jedno z głównych pól walki z ZSRR, czego przykładem były działania w Gwatemali w 1954 r., na Kubie w latach 1961–1962, na Dominikanie w 1965 r., w Chile w 1973 r. oraz w Nikaragui w latach 80. XX w. Doktryna Monroe była wówczas rzadko przywoływana wprost, lecz stale obecna jako logika uzasadniająca działania Waszyngtonu.

Upadek ZSRR pozbawił doktrynę Monroe głównego uzasadnienia, a według części politologów po 1991 r. w praktyce wręcz przestała ona istnieć. Pozostało jej dziedzictwo: utrwalony interwencjonizm, dążenie do hegemonii oraz trwała nieufność Ameryki Łacińskiej wobec Stanów Zjednoczonych.

Nowe znaczenia doktryny

Jak pisał jeszcze w 2006 r. Mark T. Gilderhus z Texas Christian University, we współczesnych realiach doktryna miała powracać przede wszystkim jako punkt odniesienia o charakterze retorycznym. Rosja i Chiny odwołują się do niej pośrednio, porównując z nią własne działania regionalne i domagając się uznania swoich stref wpływów. W Chinach jej echem jest sformułowane przez administrację Xi Jinpinga hasło „Azja dla Azjatów”, natomiast Rosja konsekwentnie traktuje obszar postsowiecki jako swoją „strefę żywotnych interesów”. Stany Zjednoczone oficjalnie dystansują się dziś do doktryny Monroe, jednak w praktyce nadal sięgają po presję gospodarczą, sankcje i instrumenty polityczne. Świadczy to o trwałości XIX-w. logiki – mimo zmian języka i deklaracji.

Z pewnością do tych schematów nawiązuje również polityka Donalda Trumpa, choć jej skuteczność okazała się ograniczona. Nie wszędzie presja przynosiła oczekiwane rezultaty. Meksyk i Kanada, kluczowi partnerzy handlowi USA, potrafiły skutecznie balansować między ustępstwami a obroną własnych interesów.

„Doktryna Monroe to poważna sprawa, ale w dużym stopniu ją zastąpiliśmy – naprawdę w bardzo dużym stopniu” – powiedział Trump na sobotniej konferencji prasowej, zanim po raz pierwszy użył określenia „doktryna Donroego” (połączenie imienia Trumpa i nazwiska piątego prezydenta Stanów).

Sekretarz stanu Marco Rubio zasugerował w ostatnim czasie intencje USA wobec Kuby, mówiąc: „Gdybym mieszkał w Hawanie i był w rządzie, byłbym przynajmniej trochę zaniepokojony”. Szerszy kontekst dają wy-

powiedzi sekretarza obrony USA Pete’a Hegsetha, który mówił, że celem obecnej administracji jest „ponowne ustanowienie amerykańskiego odstraszania i dominacji na półkuli zachodniej”. Stwierdził, że żaden inny kraj nie byłby w stanie przeprowadzić takiej operacji, jak ta w Wenezueli, i dodał: „Nasi przeciwnicy zostali ostrzeżeni. Ameryka potrafi narzucić swoją wolę wszędzie i o każdej porze”.

Amerykańscy sąsiedzi

Administracja Trumpa otwarcie mówi o obu Amerykach jako o sąsiedztwie, które Stany Zjednoczone muszą kontrolować, aby zachować status globalnego hegemonu. Ten sposób myślenia znalazł odzwierciedlenie w publicznych wypowiedziach wysokich urzędników, m.in. wspomnianego już Pete’a Hegsetha. Istota „doktryny Donroego” polega na uznaniu całej półkuli zachodniej za strefę wyłącznych wpływów USA. Pojawia się tutaj jednak kilka różnic. Głównym rywalem nie są już europejskie imperia, lecz Chiny, które w ostatnich dekadach silnie zakorzeniły się gospodarczo i politycznie w Ameryce Łacińskiej. Administracja Trumpa dopuszcza przy tym otwarty podział świata na strefy wpływów między USA, Chiny i Rosję.

Trump odchodzi od klasycznych programów pomocy i instrumentów soft power, zastępując je prostym mechanizmem nagradzania lojalnych rządów i karania nieposłusznych. Wśród beneficjentów tej polityki znalazła się Argentyna, gdzie prezydent Javier Milei – jawnie pro-Trumpowski – otrzymał 20 mld dol. pomocy finansowej. Wsparcie to pomogło mu ustabilizować władzę i wygrać wybory pośrednie, a w zamian USA uzyskały dostęp do argentyńskich surowców krytycznych. Prezydent Salwadoru Nayib Bukele zgodził się osadzić w więzieniu o zaostrzonym rygorze ponad 200 deportowanych z USA Wenezuelczyków. W nagrodę Stany Zjednoczone zniosły ostrzeżenia turystyczne dotyczące kraju oraz przekazały Salwadorowi przywódców gangu MS-13. Panama, Ekwador i Gwatemala uzyskały nowe umowy handlowe i dzięki ścisłej współpracy z administracją Trumpa uniknęły presji ze strony Waszyngtonu. Efektem tej strategii jest wzmocnienie prawicowych rządów w regionie oraz wyraźny wzrost ich popularności.

Ameryka posłuszna, oporna i lawirująca

Państwa, które nie podporządkowują się Waszyngtonowi, spotykają się z ostrą reakcją. W przypadku Nikaragui administracja USA grozi wprowadze-

Panu
ptk. Konradowi Szatankiewiczowi

Zastępcy Szefa Służby Wywiadu Wojskowego

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają
Koleżanki i Koledzy z SWW



niem 100-proc. ceł. Kuba, nie mówiąc już o Wenezueli, pozostaje objęta izolacją. Sam Trump powiedział niedawno, że „ukarane” mogłyby zostać także Kolumbia czy Meksyk.

Jednocześnie Stany Zjednoczone znacząco zwiększają obecność militarną w regionie. Rozmieszczono tam ponad 15 tys. żołnierzy, a największy lotniskowiec świata operuje w pobliżu wybrzeży Wenezueli. Od września przeprowadzono 21 ataków na jednostki określane jako łodzie przemysłowe narkotyków – bez publicznego przedstawienia dowodów potwierdzających zarzuty. Zginęły 83 osoby. Skala i charakter tych działań budzą poważne wątpliwości prawne, również w samym Kongresie USA.

Konsekwencje tej polityki widoczne są także w Kolumbii. Po krytyce amerykańskich ataków przez prezydenta Gustava Petra Waszyngton wstrzymał pomoc finansową, przeprowadził uderzenie na kolumbijską łódź oraz nałożył na Petra sankcje personalne, oskarżając go o powiązania z handlem narkotykami. Efektem jest wyraźny spadek popularności prezydenta oraz realna perspektywa zwycięstwa prawicy w kolejnych wyborach.

Polityka Stanów Zjednoczonych wobec regionu prowadzi do coraz głębszej polaryzacji Ameryki Łacińskiej, dzieląc państwa na rządy uległe wobec Waszyngtonu oraz te, które są karane. Towarzyszy temu załamanie dialogu regionalnego – z powodu braku porozumienia między uczestnikami po raz pierwszy w historii odwołano Szczyt Ameryk (miał się odbyć z początkiem grudnia 2025 r., ale w wyniku „znaczących różnic” przeniesiono go na drugą połowę tego roku). Jednocześnie widoczne jest przesunięcie polityczne w prawo: osłabienie lewicy w Boliwii oraz zwycięstwa ugrupowań prawicowych w Chile i Peru.

Strategia Donalda Trumpa napotyka jednak wyraźne ograniczenia. Meksyk i Kanada zachowują znaczną autonomię, częściowo spełniając amerykańskie żądania, ale skutecznie broniąc własnych interesów. Miejscem najpoważniejszego testu okazała się Brazylia. Trump nałożył 50-proc. cła, próbując chronić swojego sojusznika Jaira Bolsonaro. Efekt był jednak odwrotny: wzrosła popularność Luli da Silvy, Bolsonaro został skazany na 27 lat więzienia, a Trump ostatecznie wycofał się z konfrontacji i rozpoczął negocjacje.

„Kategorycznie odrzucamy ingerencję w wewnętrzne sprawy innych krajów. Historia Ameryki Łacińskiej jest jasna i wymowna: interwencje nigdy nie przyniosły demokracji, nigdy nie zapewniły dobrobytu ani trwałej stabilności” – argumentowała prezydent Meksyku Claudia Sheinbaum. Jej zastrzeżenia są o tyle istotne, że kraj ten nadal sprzeciwia się agresywnej polityce celnej ze strony USA. Luiz Inácio Lula da Silva odpowiedział zaś Trumpowi, że „Brazylia nie jest już niczyją kolonią”. W odpowiedzi na atak na Wenezuelę zaczął jednak zabiegać mocniej o podpisanie umowy między Mercosurem a Unią Europejską. Brazylijski prezydent mówi wprost o tym, że UE powinna „zdobyć się na odwagę”.

„Doktryna Donroego” destabilizuje region, wzmacnia tendencje autorytarne i zwiększa ryzyko konfliktów zbrojnych, ale przynosi Trumpowi krótkoterminowe zyski polityczne. Urowadzenie Madury nie jest więc incydentem, lecz logiczną konsekwencją paradygmatu, w którym Stany Zjednoczone uznają półkulę zachodnią za obszar swojego wyłącznego zarządzania. W tym ujęciu Wenezuela nie jest państwem podlegającym ochronie norm międzynarodowych, lecz problemem operacyjnym: źródłem niestabilności, konkurencji surowcowej i politycznego oporu wobec Waszyngtonu.

Znaczenie tego przypadku wykracza daleko poza samą Wenezuelę. Po raz pierwszy od dekad doszło do tak jawnego użycia siły wobec suwerennego państwa w regionie bez próby stworzenia szerokiej narracji ideologicznej czy humanitarnej. To sygnał, że USA testują prosty model działania: lojalność oznacza ochronę i korzyści, nielojalność – sankcje, destabilizację lub bezpośrednią interwencję.

Ten precedens pokazuje, że powrót do logiki stref wpływów nie jest już tylko postulatem teoretycznym, lecz narzędziem bieżącej polityki. Dla Ameryki Łacińskiej oznacza to trwałe podważenie resztek autonomii strategicznej, a dla systemu międzynarodowego – dalszą erozję norm ograniczających użycie siły. To właśnie dlatego sprawa Wenezueli nie jest lokalnym kryzysem, lecz zapowiedzią nowego etapu globalnej rywalizacji, w którym prawo ustępuje miejsca skuteczności.

©@

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

Bądź na bieżąco ze zmianami w prawie i podatkach w 2026 r.



dgp.pl/prenumerata

Miks historycznych idei



Czytaj też

Gdyby ktoś żyjący na początku ubiegłego stulecia i orientujący się w poczynaniach Stanów Zjednoczonych mógł doczekać naszych czasów, doświadczyłby *déjà vu*. Oto kolejne działania administracji Donalda Trumpa okazują się miksem idei i strategii wziętych z przełomu XIX w. i XX w. Czasów, gdy Ameryka z peryferyjnego państwa przekształciła się w największe mocarstwo globu. Być może ten fakt działa inspirująco na Trumpa, zachęcając do powtórki.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Belle époque po amerykańsku”, DGP nr 51 z 14 marca 2025 r.

Świat

Ideolog z Kremla

W okresie od trzech do pięciu lat po zakończeniu działań wojennych w Ukrainie Rosja zaatakuje państwo członkowskie NATO. Putin liczy na to, że Francuzi, Brytyjczycy i Niemcy wymiekną, co pokaże światu, że NATO jest wydmuszką

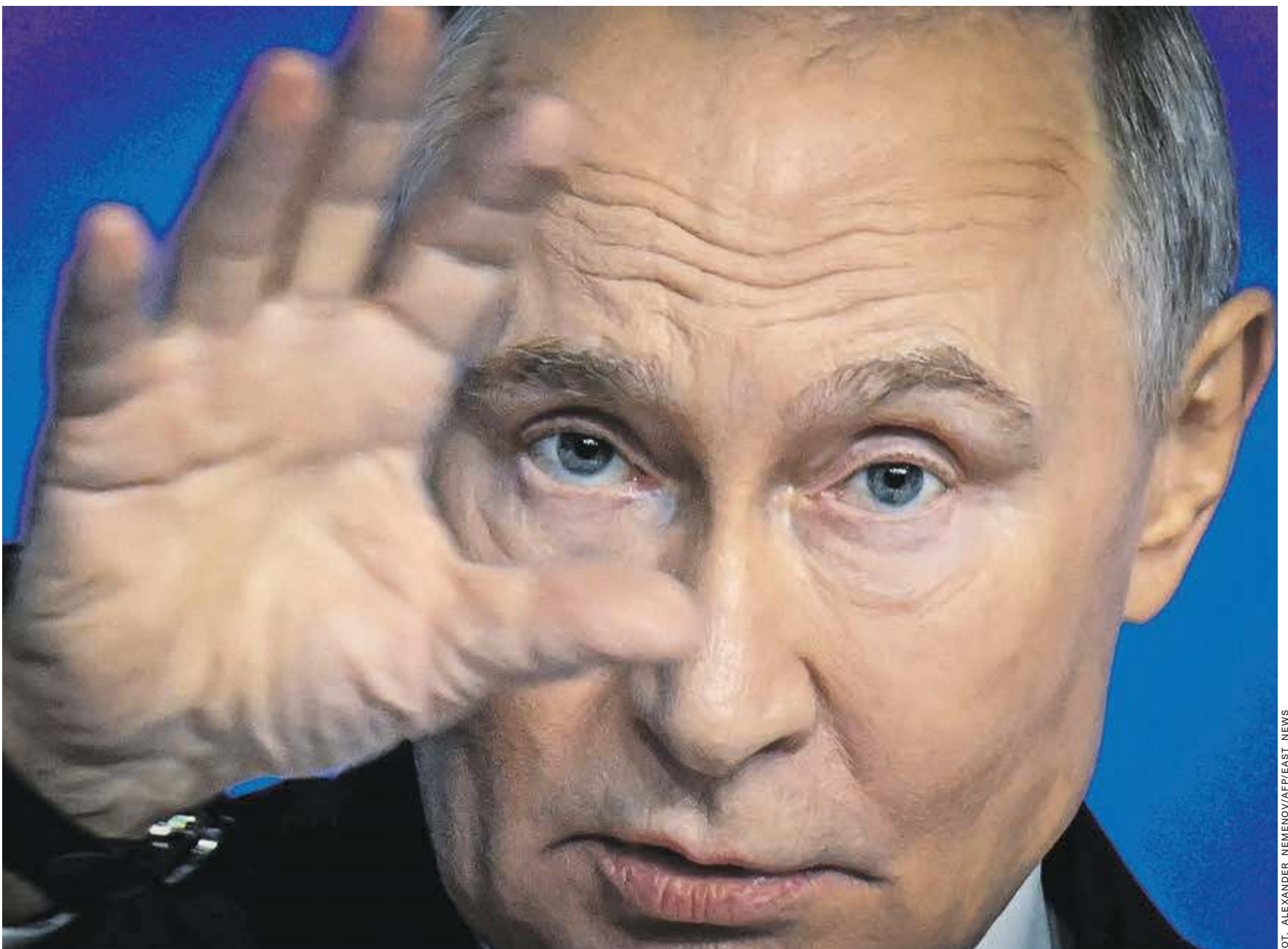
Z Aurélienem

Duchênem

rozmawia Sebastian Stodolak

Co chce odbudować Putin? Uważam, że chce wskrzesić ideę „ruskiego miru”, choć nie sądzę, by chciał odbudować Imperium Romanowów czy ZSRR. Rosja chciałaby sprawować kontrolę nad wszystkimi obszarami, których większość mieszkańców mówi po rosyjsku. Drogą do tego mają być aneksje terytorialne, czego przykładem jest tzw. Noworosja na południu i wschodzie Ukrainy. Proces ten zaczął się wcześniej – choćby od Naddniestrza. W tym kontekście często się mówi o Narwie w Estonii, ale podobne rozważania można snuć również w odniesieniu do Kazachstanu. Na północy tego kraju działają środowiska rosyjskich nacjonalistów, którzy twierdzą, że jeśli Azja Środkowa stanie się zbyt niezależna lub zbyt mocno zwiąże się z Chinami, to Rosja powinna powtórzyć scenariusz znany z Gruzji i doprowadzić do utworzenia „zjednoczonej republiki”.

Wskreszenie idei brzmi jeszcze groźniej. Historycznie rzecz



FOT. ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

biorąc, najbardziej mordercze bywały właśnie idee. Tak. Często słyszymy narrację, że Rosja jest przerażona ekspansją NATO i działa w defensywie. To nieprawda. Putin dąży również do strukturalnej przebudowy Europy tam, gdzie Rosja ma lub może mieć wystarczająco dużo sojuszników. Nie chodzi wyłącznie o kraje takie jak dzisiejsze Węgry, lecz potencjalnie także o przyszłe Francję czy Niemcy, jeśli władzę przejmą tam nacjonaliści.

Zanim Putin został prezydentem, był agentem KGB. Dlaczego człowiek o takim życiorysie miałby realizować jakąkolwiek ideę, zamiast po prostu czerpać korzyści z władzy?

Putin jest ucieleśnieniem władzy politycznej, ale nie funkcjonuje w próżni. Niemal od początku prezydentury otacza się doradcami pokroju Nikołaja Patruszewa czy Igora Sieczina, którzy mieli sprecyzowaną wizję strategiczną. W 2005 r. sprowadził ze Szwajcarii szczytka Iwana Iljina, który był jednym z głównych ideologów rosyjskiego reżimu. Często go cytował. Choć Putin faktycznie był kiedyś oportunistycznym, pozbawionym spójnej ideologii autokratą, to z czasem zaczął postrzegać siebie nie tylko jako beneficjenta systemu, lecz jako postać historyczną. Rozwinęła się w nim ambicja zapisania się w dziejach jako jeden z największych rosyjskich przywódców. W tym sensie porównałbym go do Recepta Erdoğan, a nawet do Xi Jinpinga. Gdy Erdogan dochodził do władzy, deklarował, że nie jest islamistą ani nacjonalistą, że chce wprowadzić Turcję do Unii Europejskiej. Nazwał swoje ugrupowanie Partią Sprawiedliwości i Rozwoju, choć już wtedy otaczał się ludźmi, którzy dziś realizują program islamistyczno-nacjonalistyczny. Ta ideologia była obecna od początku, choć pozostawała ukryta. Gdy Xi Jinping obejmował władzę, pojawiały się nadzieje, że okaże się „chińskim Gorbaczowem”. Tymczasem od początku funkcjonował w kręgu nacjonalistycznych ideologów.

Putin czuje się lepszy od Zachodu?

Czuje się lepszy w sensie osobistym, ponieważ trwa. Pozostaje u władzy, podczas gdy zachodni przywódcy się starzeją, przegrywają wybory i odchodzą. Putin doszedł do władzy za czasów Clintona, potem obserwował Busha i kolejnych prezydentów USA. Ta długowieczność władzy rodzi coś w rodzaju syndromu głównego bohatera: przekonanie, że to on jest centralną postacią historii, a inni przywódcy – Macron, Netanyahu, Trump – są jedynie przypisami. Oni przychodzą i odchodzą, on zostaje. Już samo to buduje poczucie wyższości. Putin czuje się też lepszy dlatego, że wierzy, iż znajduje się po właściwej stronie historii. W marcu 2023 r. mówił: „Jesteśmy świadkami zmian, jakich świat nie widział od stulecia, a my tym zmianom przewodzimy”. Najwyraźniej uważa, że w długim horyzoncie to jest jego czas. Odwołuje

się do rosyjskiej tradycji intelektualnej. Cytował m.in. XIX-wiecznych myślicieli, takich jak Konstantin Leontjew, który twierdził, że historia rozwija się cyklicznie, Zachód chyli się ku upadkowi, a przyszłość należy do religijnej, autokratycznej Rosji. Putin jest przekonany, że demokracja jest u schyłku, a przyszłość należy do globalnego Południa. W jego wizji demokracja staje się jedynie historycznym epizodem, nawiasem, który właśnie się zamyka.

Żeby w to wszystko wierzyć, Putin dopasowuje swoje rozumienie rzeczywistości – albo wręcz historię – do tej ideologii. Widać to było np. w głośnej rozmowie z Tuckerem Carlsonem.

Owszem. Jeśli porównamy ten wywiad z wcześniejszymi wystąpieniami Putina, zobaczymy zupełnie nową postać. 20 lat temu mieliśmy Putina mówiącego językiem potocznym, często posługującego się wręcz slangiem ulicy, świata mafijnego. To był przywódca „z ludu”, człowiek, który po prostu robi swoją robotę. Który mówił, że „terrorystów trzeba utopić w kiblu”. Dziś widzimy Putina wykładowca, który cztery lata temu opublikował esej dowodzący, że Ukraina jest historycznie częścią Rosji. To pokazuje, że mamy do czynienia z przywódcą bardziej ukształtowanym ideologicznie. On wręcz odgrywa postać Jarosława Mądrego. Odwołuje się do Rusi Kijowskiej i wygaduje historyczne bzdury, choć są to bzdury funkcjonalne. W jego narracji mają one sens. I to właśnie czyni go bardziej niebezpiecznym. Putin, który jest przekonany, że ma do odegrania szczególną rolę w historii, jest groźniejszy niż Putin oportunistą.

A mógł pozostać oportunistą? Nie wiem. Kiedy przeanalizuje się archiwa i jego wczesne działania, nie wydaje się możliwe, żeby kiedykolwiek mógł się stać prawdziwym demokratą. Putin od początku chciał robić to, co robi dziś. Po prostu nie miał jeszcze odpowiednich środków, zwłaszcza militarnych. Być może liczył, że uda mu się podporządkować Ukrainę bez inwazji na pełną skalę. Być może wierzył, że można tolerować w Rosji pewne zachodnie elementy kulturowe, o ile nie zagrażają one jego władzy. Obecnie wydaje się przekonany, że kraj trzeba całkowicie oczyścić z zachodnich wpływów. Wcześniej mógł mówić: „Róbcie co chcecie w Starbucksie czy McDonald'sie, bylebyście mnie nie krytykowali”. Teraz uznał, że nawet taki margines swobody jest nie do pogodzenia z jego wizją władzy.

Wierzy w to, co robi?

W pewnym sensie tak. Z jednej strony świadomie kłamie, np. kiedy mówi, że w Ukrainie rządzą naziści. Albo gdy twierdzi, że to perspektywa członkostwa Ukrainy w NATO była casus belli. W 2002 r. deklarował, że nie miałby z tym problemu i że to nie jest sprawa Rosji. Putin jest przekonany o dwóch rzeczach. Po pierwsze,

o swojej wyjątkowej roli w historii. Ma wokół siebie ludzi, w tym przedstawicieli Cerkwi, którzy mówią mu, że został wybrany przez Boga i powinien rządzić wiecznie. Gdy słyszysz to wystarczająco długo, a jednocześnie dokonujesz inwazji na Ukrainę i mimo katastrofalnych prognoz utrzymujesz się u władzy, zaczynasz wierzyć, że jesteś nietykalny. Po drugie, Putin jest przekonany, że demokracja się skończyła. Jego odwołania do religii są w dużej mierze cyniczne. W Europie przedstawia się jako broniący tradycji konserwatysta, w Afryce jako wróg Zachodu. To czysta instrumentalizacja. Zupełnie szczerzy jest w jednym: w przeświadczeniu, że liberalna demokracja dobiegła końca i że przyszłość należy do modeli autorytarnych – chińskiego i rosyjskiego – które, w jego wizji, mają się stać wzorem dla reszty świata.

A kim jest Putin w oczach zachodnich polityków? Zaczniemy od pana kraju. Relacje francusko-rosyjskie zawsze były dość osobliwe. Macron przed inwazją należał do nielicznych zachodnich przywódców, którzy regularnie rozmawiali z Putinem bezpośrednio. Po wybuchu wojny doszło jeszcze do rozmów telefonicznych, ale później ujawniono ich nagrania i wizerunkowo nie wyszło to Macronowi na dobre. Jak francuska klasa polityczna postrzega Rosję i Putina?

Putin jest postrzegany we Francji jak Hitler. Trzy lata temu takie porównanie uznano za przesadę. Dziś dla zdecydowanej większości francuskiej klasy politycznej Putin jest absolutnym złem. I, co równie ważne, w końcu zrozumiano, że nawet jeśli w pewnym momencie Zachód będzie musiał z nim negocjować, to nie można mu ufać.

Co konkretnie zmieniło jego ocenę? Wyłącznie wojna w Ukrainie?

Zdecydowanie tak. Na początku rządów Putina mówiono: „On nie jest demokratą, jest skorumpowany, ale Rosja to trudny kraj, trzeba to zaakceptować”. Pierwszym prawdziwym wstrząsem był Krym. Aneksja Krymu uświadomiła francuskiej klasie politycznej i ekspertom, że Putin jest nie tylko bezwzględny autokratą, lecz także przywódcą, który łamie zasady stanowiące podstawę współczesnych relacji międzynarodowych. Wtedy po raz pierwszy pojawił się obraz Putina jako postaci potencjalnie zagrażającej Europie jako całości, a nie jedynie lokalnego tyrana. Mimo to do czasu napaści na Ukrainę wciąż dominowało przekonanie, że można z nim rozmawiać. Były prezydent François Hollande mówił mi, że Putinowi nie ufa, ale że trzeba z nim rozmawiać, bo on po prostu „tam jest”. Rosja była postrzegana jako pełnoprawny partner dyplomatyczny – państwo należące do stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ. Jeszcze trzy lata temu we Francji istniała prawdziwa fascynacja Putinem. Duża część prawicy, np.

François Fillon, twierdziła: „Putin nie jest ideałem, ale przynajmniej działa”. Pojawiały się argumenty o wspólnych wartościach, o chrześcijaństwie, o tradycji. To się całkowicie zmieniło po inwazji na Ukrainę. Dziś poparcie dla Putina we Francji mieści się w granicach 5 proc., może 10 proc. To wciąż za dużo, ale jest to margines.

A jak jest w Niemczech?

Tam idea powrotu do normalności w relacjach z Putinem jest wciąż silniejsza niż we Francji. Mimo że Niemcy wysyłają Ukrainie więcej pomocy i znacznie więcej inwestują w wojsko, by odstraszać Rosję, to przekonanie, że kiedyś trzeba będzie się z Putinem dogadać, pozostaje tam żywsze. W Niemczech mamy także AfD, która jest bardziej prorosyjska i proputinowska niż Zjednoczone Narodowe we Francji. Widać tam silniejszą gotowość do myślenia w kategoriach przyszłego kompromisu.

Dlaczego francuska i niemiecka klasa polityczna mają różne poglądy na temat Putina?

Przed inwazją relacja Francji z Putinem nie była oparta na twardych interesach gospodarczych. Chodziło raczej o kategorię wielkości politycznej. Putin był postrzegany, co dziś brzmi okropnie, jako postać o wymiarze historycznym, wizjoner. We Francji istnieje pokusa myślenia w takich kategoriach: „My, Francuzi, jesteśmy narodem wielkich idei, więc powinniśmy rozumieć innych myślących w taki sposób”. W Niemczech było inaczej. Tam od początku chodziło o interesy. Panowało przeświadczenie, że Rosję można ucywilizować poprzez współzależność gospodarczą.

I się nie udało. No, nie. Ale interesy zostały.

A co z Amerykanami? Ich komunikaty są niejednoznaczne.

Jednego dnia Trump złości się, że Putin nie chce zakończyć wojny. Innym razem bywa wobec niego wyrozumiały. Ludzie wokół Trumpa często wyglądają na biznesmenów, którzy chcą po prostu robić interesy.

Większość zwykłych Amerykanów pozostaje antyputinowska i proukraińska. Mimo to wyborcy pozwalają Trumpowi na dwuznaczność wobec Putina. W amerykańskich elitach wyraźnie rośnie grupa, która uważa, że priorytetem w polityce zagranicznej USA powinny być Chiny – nawet jeśli oznacza to kompromisy kosztem bezpieczeństwa Europy. Ta idea jest coraz silniejsza i nie ogranicza się do kręgów skupionych wokół J.D. Vance'a. Do tego dochodzi koncepcja odwróconego Kissingera zbliżymy się do Moskwy po to, by wbić klin między Rosję i Chiny, osłabić ich sojusz i uniknąć pełnego strategicznego złączenia tych państw. Chciałbym być optymistą i powiedzieć, że po Trumpie wszystko wróci do normy. Ale ten sposób myślenia zapuszcza korzenie: w części amerykańskiej prawicy, ale także w pewnych

lewicowych środowiskach Partii Demokratycznej. Tam pojawia się hasło: „Ukraina i Europa mnie nie obchodzą, nie chcemy III wojny światowej, chcemy postawić siebie na pierwszym miejscu”. W rezultacie coraz większa część elit nie chce konfrontacji z Putinem.

Czy to pobłażliwe podejście do Putina wynika z braku historycznego doświadczenia z rosyjską agresją? Kraje europejskie je mają, więc ich perspektywa jest inna. Ponadto można usłyszeć argument, że właśnie ze względu na to doświadczenie państwa nie są obiektywne, a „my, w Waszyngtonie, patrzymy z zewnątrz i widzimy sprawę jaśniej”.

To ten sam argument, który słyszałem we Francji, gdy mówiłem, że w sprawie Rosji być może powinniśmy po prostu słuchać Polaków, Estończyków czy Czechów. Brzmiał on mniej więcej tak: „Nie słuchajmy ich, bo to rusofobia wynikająca z historii. Rozumiemy, że nie lubią Rosjan, ale muszą dorosnąć”. Albo: „My pojednaliśmy się z Niemcami, więc Polska powinna zrobić to samo”. Stało za tym przekonanie, że Francuzi potrafią myśleć chłodniej i jaśniej. Dochodził do tego element francuskiej wyjątkowości: „Jesteśmy mądrzejsi od innych”, „Mieliśmy rację w sprawie Iraku”, więc za każdym razem, gdy Polska mówi, że Rosja jest zagrożeniem, to „na pewno jest jakaś manipulacja”, „propaganda”, „pułapka, żeby związać Europę z Pentagonem”. W tej narracji Francja miała być jedynym niezależnym graczem, który rozumie Putina, bo nie poddaje się amerykańskiej presji.

A jak Putina widzą rosyjscy oligarchowie?

Putin trzyma ich w garści. Jednak nie można całkowicie wykluczyć scenariusza, w którym rosyjska gospodarka popadnie w tak dotkliwy kryzys, że oligarchowie spróbują – nie poprzez zamach stanu, lecz nacisk – wymusić na Kremlu powstrzymanie katastrofy. Jedną z osób, których Putin słucha szczególnie uważnie, jest Igor Sieczin, prezes Rosneftu. W jego najbliższym otoczeniu są też bracia Rotenbergowie, którzy nadal mają możliwość przekonywania go do racjonalizacji działań, gdy stawką staje się uniknięcie poważnej destabilizacji. Jednocześnie warto przypomnieć, że przed 2022 r. w rosyjskim systemie dało się jeszcze wyróżnić trzy duże grupy wpływu. Pierwszą byli słynni siłowicy. Drugą obejmowała postać o bardziej „liberalnym” wizerunku – np. Dmitrija Miedwiediewa, który dziś jest skrajnym nacjonalistą i otwarcie mówi o niszczeniu Europy. Trzecią, moim zdaniem kluczową grupą, byli technokracy tacy jak premier Michaił Miszustin czy szefowa banku centralnego Elwira Nabiullina. Przed inwazją tworzyli oni istotny hamulec dla aspiracji Putina. Logika technokratów była prosta: „Nie psujmy wszystkiego z Zachodem, bo jesteśmy dużą gospodarką, musimy utrzymać stabilność”. Dziś widzimy, że ci

Aurélien Duchêne

„Putin przeciw Zachodowi”,
Wydawnictwo Prześwity,
Warszawa 2025



ludzie bezpośrednio pracują na rzecz programu Putina. To kompetentne osoby, nie wolno ich lekceważyć. Nabiullina wkłada ogromny wysiłek w utrzymanie stabilności finansowej państwa, co w praktyce oznacza wspieranie maszyny wojennej. Miszustin, a także tacy ludzie jak Andriej Bielousow w resorcie obrony, też już się nie sprzeciwiają Putinowi.

Na Zachodzie istnieje przekonanie, że Rosjanie to dobrzy ludzie uwięzieni w złym systemie. Nawet jeśli tak jest, to czy ci dobrzy ludzie nie wyznają podobnej do Putina wiary w wyższość Rosji i rosyjskiej duszy?

Biorąc pod uwagę liczne badania – od sondaży po rozmowy z ekspertami analizującymi opinię publiczną – można wyróżnić trzy duże grupy. 20–25 proc. społeczeństwa jest zdecydowanie przeciwne Putinowi i chciałoby, aby Rosja była bardziej „zachodnia”. 25–30 proc. to skrajni nacjonaści gotowi do wojny z Zachodem. To najtwardsze zaplecze Putina, ludzie, którzy chcieliby pchnąć Rosję w stronę reżimu całkowicie totalitarnego, wręcz faszystowskiego.

Pozostaje ok. 50 proc. społeczeństwa...

I tę trzecią grupę nazwałbym konformistyczną i oportunistyczną. Osoby te nie muszą być entuzjastycznie nastawione do wojny, ale jej nie krytykują. Mogą zaprotestować dopiero wtedy, gdy dostaną powołanie do wojska albo gdy reżim gwałtownie podniesie podatki. Wtedy powiedzą: „To nie moja wojna”. Ale dopóki to się nie dzieje, będą powtarzać: „Tak, to straszne, ale jesteśmy zmuszeni, świat jest przeciwko nam”. Podobnie z demokracją: ta połowa społeczeństwa nie musi uważać, że demokrację należy raz na zawsze zlikwidować, ale nie wyjdzie też na ulice, by jej bronić. W praktyce wykonuje polecenia. W Rosji widać coś bardzo niepokojącego: reżim potrafi doskonale przesuwac okno Overtona. Ludzie, którzy 20 lat temu byli marginesem, dziś stają się mainstreamem, jak choćby Aleksander Dugin.

Jest jeszcze jeden mit: że Rosjanie zbuntują się, gdy poznają prawdę. Byłem w RPA na Y20, oficjalnym szczyście młodzieżowym G20. Rozma-

wiałem tam z rosyjskimi uczestnikami: ludźmi, którzy mówią po angielsku, jeżdżą do Barcelony czy Cancun. Owszem, bywają krytyczni wobec Putina w sprawach LGBT albo wobec jego antyzachodnich tyrad. Ale kiedy schodzi na wojnę w Ukrainie, wszystko usprawiedliwiają albo zaprzeczają faktom. Mówią: „Nie, nie wymordowaliśmy ludzi w Mariupolu, to bzdura”, albo: „Ukraina musi zostać zniszczona”. Zapytałem jedną z tych osób o Polskę. Odpowiedziała: „Polskę trzeba ukarać”. Zapytałem wprost: „Czy to znaczy, że będziecie bombardować Warszawę?”. Odpowiedziała: „Jeśli będzie trzeba, to tak”. Nie widzę więc tłumów „dobrych Rosjan”, którzy mieliby obalić Putina. Jeśli są, to jednostki, które wyemigrowały. We Francji osoby te chodzą po ulicy z ukraińskimi flagami. Ale to może 2 proc. rosyjskiej populacji. Oni sami stracili nadzieję wobec własnego narodu.

Pan ma co do Rosjan jakąś nadzieję?

W mojej książce piszę o nadziei na demokrację w Rosji. Nie chcę mówić, że to koniec i że będziemy żyć w permanentnej wojnie. Dziś nie widzę przesłanek, by w dającej się przewidzieć przyszłości nastąpiła jakaś istotna zmiana.

A jednak każda wojna kiedyś się kończy. Jak szybko dojdzie wtedy do normalizacji relacji między Rosją a Zachodem?

Uważam, że w okresie od trzech do pięciu lat po zakończeniu działań wojennych w Ukrainie Rosja zaatakuje państwo członkowskie NATO. W międzyczasie możemy popaść w złudzenie, że wszystko zmierza ku normalizacji. Jeśli chodzi o mój kraj, to nawet gdyby wybory wygrali Marine Le Pen albo Jordan Bardella, nie będzie pełnej normalizacji, bo dla większości Francuzów Putin stał się nowym Hitlerem, a z Hitlerem nie da się normalizować. Jednocześnie możliwe, że pojawią się naciski ekonomiczne: „Amerykanie albo Chińczycy wejdą na rosyjski rynek, więc może my też powinniśmy sprzedawać tam samochody”. To nie będzie przyjaźń ani pełna normalizacja, raczej oportunistyczny powrót części biznesu.

Po co Rosji wojna z NATO? Po to, by przetestować Sojusz.

Jak ewentualny atak na NATO wpisywałby się w długoterminowy plan Putina odbudowy idei „ruskiego miru”?

Rosja liczy na to, że w razie ataku Francuzi, Brytyjczycy i Niemcy wymiękną, co pokaże światu, że NATO jest wydmuszką. Nie powinniśmy tego lekceważyć. To byłaby też zemsta za zimną wojnę, która dałaby Moskwie poczucie ostatecznego zwycięstwa. Upokorzenie Zachodu byłoby celem samym w sobie. Sądzę, że choć Rosja może nie chcieć wojny na pełną skalę, to się do niej aktywnie przygotowuje jako do planu B. Już dzisiaj produkuje broń i rekrutuje żołnierzy z myślą o przyszłej konfrontacji z NATO. Równie ważne jest to, co się dzieje w sferze społecznej:

indoktrynowanie młodzieży i uświadamianie obywateli, że konflikt z Zachodem jest nieunikniony. To wygląda jak budowanie mentalnej gotowości do wojny. Nie wiemy, jak Kreml dokładnie wyobraża sobie rozwój sytuacji. Być może liczy na scenariusz kontrolowanej eskalacji: że dojdzie do incydentu – Putin uzna np., że Polska „wkracza” na Białoruś – a wtedy Rosja bombarduje Warszawę, po czym oświadczy: „Dobra, dość”. Potem grozi eskalacją nuklearną, licząc, że Zachód się cofnie, a oni wyjdą z wojny bez drugoczęści porażki. Mam wrażenie, że rosyjski reżim wierzy w dwie rzeczy naraz: po pierwsze, że jest w stanie taką wojnę stoczyć; po drugie – że jest w stanie ją przetrwać, nawet jeśli rosyjska flaga nie zawisnie w Warszawie.

Rosjanie dowiedli już niezdolności do przewidywania ryzyka w Ukrainie. Skąd więc przekonanie, że atak na kraj NATO da się przetrwać, zwłaszcza jeśli Sojusz przejdzie do kontrataku? Czy oni rozumieją, że może to oznaczać wielką wojnę, a nawet upadek reżimu?

Niektórzy eksperci twierdzą, że Putin i jego otoczenie uważają taką wielką wojnę za jedyny sposób uratowania reżimu, bo konfrontacja wiąże się z efektem zjednoczenia wokół flagi. Jeśli Rosjanie pójdą walczyć, to nie będą się buntować, a kraj nie rozsadzi się od środka. Nie wiem, czy to dominuje w kalkulacjach, ale widzę oznaki, że reżim – nie tylko sam Putin – wierzy, iż jest w stanie przetrwać niemal wszystko.

Jak zapobiec takiemu scenariuszowi?

Przygotować się do tej wojny. Gdyby wszystkie państwa Europy zaczęły się zbroić tak jak Polska, byłyby to realny fundament odstraszenia Rosji. Niestety, przez ostatnie trzy lata w Europie słyszeliśmy, że każdy kolejny krok w pomaganiu Ukrainie spowoduje III wojnę światową. Tymczasem przekazano czołgi, a potem samoloty – i nic takiego nie nastąpiło. Wszystko wskazuje na to, że Putin potrafi się cofnąć, jeśli widzi determinację Zachodu. Jestem jednym z twórców inicjatywy Sky Shield, której celem byłaby bezpośrednia interwencja na zachodzie Ukrainy w formie zestrzeliwania rosyjskich dronów i rakiet (nie walki z rosyjskimi pilotami). Chodzi o to, by nie iść na wojnę z Rosją, lecz pokazać, że nie będziemy czekać, aż Putin zdecyduje się przetestować Polskę czy Estonię. Chcemy już teraz pokazać wystarczającą determinację, by uznał, że sprawdzanie NATO nie ma sensu. ©©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute



Aurélien
Duchêne

geopolityk, autor książki
„Putin przeciw
Zachodowi”



Stała zmienność, czyli jak Moskwa zarządza zasobami

Kacper **Wańczyk**

Wojna obciąża głównie najbiedniejsze sfery społeczeństwa. To osoby wywodzące się z tych grup najczęściej trafiają na front, zaś wzrost wydatków na zbrojenia skutkuje cięciami w finansowaniu usług społecznych. Jednak i bogatsze części społeczeństwa zaczynają w końcu odczuwać ekonomiczne skutki konfliktu. Militaryzacja gospodarki zmniejsza bowiem zyski firm i dywidendy, premie i pensje. Druga faza agresji Rosji na Ukrainę uruchomiła właśnie te procesy. Kreml próbuje się z nimi mierzyć, starając się przenieść – w zależności od potrzeb – ciężar finansowania wojny na różne grupy społeczne. To ważne, bo dla Rosji typowy jest ogromny rozdźwięk między najbogatszymi a resztą społeczeństwa. 1 proc. najmańszych kontroluje ponad 40 proc. zasobów (do 10 proc. najbogatszych należy ok. 70 proc.). Bogactwo jest skoncentrowane głównie w Moskwie i Petersburgu, w nieco mniejszym stopniu w regionach przemysłowych (np. Magnitogorsk). Praktycznie nie ma w Rosji klasy średniej, nawet tak słabej, jak w Polsce. Mediana pensji wynosi niewiele ponad ok. 7,3 tys. rubli (ok. 3,3 tys. zł) i jest silnie zróżnicowana w zależności od regionu kraju. Biedą szczególnie dotknięte są niesłowiańskie grupy zamieszkujące Rosję.

Centralizacja wiecznego kryzysu

Analizowanie stanu rosyjskiej gospodarki jest bardzo mocno utrudnione. Po pierwsze – oficjalne dane uważa się za niewiarygodne, a nawet zafałszowane. Po 24 lutego 2022 r. istotne statystyczne elementy przestały być publikowane. Ale wciąż można dostrzec zachodzące procesy oraz trendy.

Po drugie – immanentną cechą tamtejszej ekonomii jest stałe napięcie między działaniem długoterminowym a doraźnym. Kreml przyjmuje długoterminowe plany rozwoju gospodarki (ale też np. co roku, prócz budżetu, na najbliższe 12 miesięcy zatwierdzana jest perspektywa ramowa finansów publicznych), lecz równocześnie administracja potrafi często zmieniać znaczące elementy strategii (np. modyfikuje politykę podatkową). To skutek scentralizowania gospodarki połączony z powtarzającymi się kryzysami. Po objęciu władzy prezydent Władimir Putin konsekwentnie koncentrował kontrolę nad gospodarką, prowadząc do stworzenia systemu, który badacz Simon Kordoński nazwał gospodarką dystrybucyjną. Wszystko, co istnieje, traktowane jest jako zasób. Nie tylko rzeczy fizyczne, lecz także praca czy edukacja. Te zasoby są kontrolowane przez władzę, a inne podmioty otrzymują je tymczasowo – na czas, kiedy robią to, co państwo im zleciło. Równocześnie Rosja znacznie częściej niż Zachód mierzy się z kryzysami. Jak podkreśla ekonomistka i badaczka elit Aleksandra Prokopenko, o ile w gospodarkach rynkowych cykliczne tąpnięcia zdarzają się co 7-11 lat, o tyle Rosję dotyczą one dwa razy częściej. To, z jednej strony, poważny mankament, ale z drugiej – urzędnicy i biznes przystosowali się do funkcjonowania w sytuacjach wymagających szybkich reakcji.

Delikatna siatka bezpieczeństwa

W początkowym etapie inwazji Kreml starał się utrzymywać socjal na poziomie przedwojennym. Udział budżetowych środków przeznaczonych na politykę społeczną wyniósł w 2022 r. 28 proc., a w latach 2023 i 2024 – 21 proc. W 2025 r. prawdopodobnie spadnie do ok. 15-16 proc. (nie ma jeszcze danych).

Te wydatki z punktu widzenia Moskwy są ważne dla utrzymania spokoju w kraju. Finansowane z nich są bowiem różnego rodzaju wypłaty dla obywateli – emerytury czy zapomogi. Mniej widoczne dla osób mieszkających w Rosji są długoterminowe koszty niedofinansowania innych elementów usług publicznych – m.in. edukacji i służby zdrowia. W nich nawet przed wojną brakowało

Nie jest zaskakujące, że model dystrybucyjny odpowiada władzom Kremla. Pozwala na manipulowanie zasobami, zapewnia kontrolę nad biurokracją, która zrasta się z systemem. I pozwala zagwarantować dochód zausznikom bez utraty kontroli nad nimi

pieniędzy i nie wydaje się, by Kreml zamierzał sytuację zmienić. Wprowadzono także zmiany, które miały na celu zwiększenie wartości wypłacanego wsparcia, redukując nadmiar administracji. W 2022 r. Putin podpisał dekret łączący fundusze: Ubezpieczenia Społeczne oraz Emerytalny w jeden Społeczny Fundusz Rosji. Ministerstwo Pracy obiecywało, że skutkować to będzie wzrostem wypłacanych wypłat o połowę. Choć zbyt wcześnie na analizę funkcjonowania nowej struktury, to obietnica ta wydaje się nazbyt optymistyczna. W 2022 r. wydatki obu organizacji przed połączeniem wyniosły 12,52 bln rubli (ok. 560 mld zł), a ok. 70 proc. z nich stanowiły wypłaty różnego rodzaju świadczeń socjalnych. Wydatki nowego funduszu w 2023 r., pierwszym pełnym roku jego funkcjonowania, to 13,86 bln rubli (ok. 620 mld zł). Wzrost wyniósł więc 10 proc.

Ujednolicono też wsparcie dla najbiedniejszych rodzin z dziećmi oraz rozszerzono zakres stosowania kapitału macierzyńskiego – systemu wsparcia zbliżonego do polskiego Rodzinnego Kapitału Opiekuńczego.

Istotnym narzędziem redystrybucji stał się też oczywiście sam konflikt. Żołdy oraz zapomogi wojenne uzupełniają domowe budżety. Bezrobocie, spadające wraz z transferem produkcji do sektora wojskowego i rozszerzaniem się poboru, prowadziło do konkurencji cenowej, co zwiększało dochody szczególnie osób wysoko wykwalifikowanych. Naturalnie owoce tych polityk nie są równomiernie rozłożone w społeczeństwie czy między regionami kraju. Niemniej dowodem ich częściowego sukcesu jest fakt, że po początkowym szoku w 2022 r. handel detaliczny i wydatki konsumpcyjne zaczęły rosnąć na przełomie 2024 r. i 2025 r. Realna wartość pieniędzy, które otrzymywali Rosjanie, zaczęła jednak stopniowo spadać. To skutek narastającej presji inflacyjnej. Pierwszy rok rosyjskiej inwazji zakończył się wzrostem cen na poziomie 13,7 proc. Centralnemu Bankowi Federacji Rosji udało się osłabić presję inflacyjną i rok 2025 prawdopodobnie zamknie się wynikiem ok. 6 proc.

Bogaci niech coś dorzucą

Kluczowym rosyjskim towarem eksportowym, a więc i głównym źródłem wpływów do budżetu, są wpływy ze sprzedaży ropy oraz gazu. Z tej przyczyny Kreml postanowił poszukać pieniędzy na finansowanie wojny poprzez manipulowanie zasadą budżetową.

To wprowadzone w 2013 r. (zmodyfikowane pięć lat później) przepisy regulujące obowiązek przekazywania części budżetowych dochodów ze sprzedaży surowców energetycznych do Funduszu Dobrobytu Narodowego (państwowego funduszu majątkowego, zabezpieczającego wypłaty emerytalne oraz stabilność budżetową). Zasada określa także procedury wypłacania środków z Funduszu.

W pierwszych dwóch latach konfliktu praktycznie zawieszono jej funkcjonowanie. Dzięki temu Kreml mógł kierować dodatkowe pieniądze do gospodarki. W 2024 r., w związku z topnieniem środków Funduszu, władze zostały zmuszone do powolnego przywracania oryginalnej zasady budżetowej. Kolejnym elementem zwiększania wpływów do budżetu z sektora energetycznego było wprowadzenie większych obciążeń dla przedsiębiorstw eksportujących paliwa. Podniesiono opłaty za eksport LNG, nałożono dodatkowy podatek na Gazprom. Zmieniono też formułę wyliczania podatków od wydobycia oraz dodatkowego zysku (windfall tax). Dotąd wyliczane były one w oparciu o cenę ropy rosyjskiej marki Urals, według nowej formuły podstawę stanowi droższy Brent. Różnice w cenach po rozpoczęciu rosyjskiej agresji potrafiły sięgać 35 dol. za baryłkę, bliżej końca 2025 r. zbliżyły się do kilkudolarowej różnicy. Kreml wprowadził też ogólniejsze instrumenty służące do ściągania dodatkowych pieniędzy od najbogatszych. Podatkami od nadmiarowego zysku objęto firmy osiągające ponad 1 mld rubli przychodu (ok. 13 mln dol.), choć wyłączono z niego przedsiębiorstwa energetyczne. Podniesiono stawkę podatku od przedsiębiorstw o 5 pkt proc., do 25 proc. Zachodnie firmy, zamykające swoje inwestycje na rynku rosyjskim, zmuszono do uiszczenia specjalnej opłaty. Dodatkowe wpływy do budżetu udało się też uzyskać z uszczelnienia systemu VAT. Putin odwołał się też do patriotyzmu najbogatszych Rosjan, wzywając ich, by wspierali krajową gospodarkę inwestycjami. Zastosowanie tych narzędzi pozwoliło władzom na utrzymanie relatywnej stabilności finansów publicznych.

Ale bogatym też musimy pomóc

Równie szeroki (a nawet szerszy) jak system obciążeń podatkowych jest program wspierania firm. On również został wprowadzony z początkiem inwazji na Ukrainę. Składa się zarówno z elementów bezpośredniego wsparcia finansowego, >

jak i rozluźnienia dotychczasowych polityk regulacyjno-fiskalnych. Choć dochody nominalne rosyjskiego społeczeństwa systematycznie rosną, to inflacja osłabia realną siłę nabywczą rubla. Mimo wielu wezwań, także ze środka samej administracji, do częstszego zwiększania stóp procentowych, bank centralny wstrzymywał się z takim działaniem.

Był to skutek decyzji Kremla, który wsłuchiwał się w głosy przedstawicieli biznesu, jak Aleksandra Szochina, szefa Rosyjskiego Związku Przemysłowców i Przedsiębiorców. Obawiali się oni szybkiego wzrostu kosztów zaciągniętych pożyczek. Problem ten dotyka szczególnie przedsiębiorstwa przemysłu ciężkiego, które są powiązane z sektorem zbrojeniowym.

Mimo wprowadzenia podwyżek podatków i opłat, Kreml pozwolił takim zakładom na opóźnianie ich spłaty. Tymczasowo zawieszano też kontrole (głównie skarbówki, ale też nadzoru technicznego czy weterynaryjnego). Niektórym kategoriom firm pozwolono również na renegowanie warunków kredytów bankowych. Wprowadzono dodatkowo system pożyczkowy wspierający eksport.

Pomocy firmom służą również zmiany w regułach realizacji zamówień publicznych. Nowe zasady pozwalają m.in. na zmianę warunków kontraktów państwowych w trakcie ich trwania; np. umowa może zostać zawieszona lub techniczny opis zamówienia może być zmodyfikowany, gdy firma nie ma dostępu do odpowiednich komponentów (w przypadku wpisania ich na listę sankcyjną). Wznowiono także działający w okresie pandemii program wsparcia dla przedsiębiorstw „systemowych”, czyli strategicznych. Na tej liście są duże banki, firmy energetyczne, budowlane czy informatyczne. Spis zatwierdzany jest co roku. Kryzysowy program daje tym przedsiębiorstwom dostęp do gwarancji kredytowych i subsydiów. Z kolei bank centralny może zawieszać funkcjonowanie banków, które znajdują się w trudnej sytuacji finansowej. Może też pozwalać im na opóźnienia w realizacji zobowiązań sprawozdawczości czy zmieniać zasady ograniczania ryzyka, w zależności od potrzeb. Naturalnie firmy zbrojeniowe obdarzono oddzielną pomocą. Przedsiębiorstwa, których funkcjonowanie jest utrudnione wspierane są dodatkowymi zamówieniami lub łączone są z zyskowniejszymi. Firmy otrzymują subsydia na zatrudnienie, a ich pracownicy dostają ulgi na wynajem mieszkań.

Zestaw tych działań pozwolił na realizację kilku zadań: utrzymania stabilności gospodarczej, pomocy zbliżonym do Kremla biznesmenom oraz stworzenia wrażenia, że – przynajmniej częściowo – koszty agresji ponoszą różne warstwy społeczeństwa.

Wyczerpanie narzędzi, nie modelu

Planowane zmiany podatkowe, zapowiadane w budżecie na 2026 r. i w perspektywie do 2028 r., pokazują, że Kreml musi jednak zwiększyć obciążenia biedniejszej części społeczeństwa. Teraz większa część planowanego wzrostu dochodów budżetowych pochodzić ma ze wzrostu podatku VAT – od 1 stycznia 2026 r. wzrósł on o 2 pkt proc., do 22 proc. Uważa się, że przyniesie to może wzrost dochodów państwa o 20 proc. VAT jako podatek regresywny płacony w towarach i usługach obciąża głównie słabiej sytuowanych.

Wprowadzona na początku 2025 r. reforma podatku dochodowego od osób fizycznych wydaje się nie mieć tak istotnego znaczenia dla finansów publicznych. Choć dwie stawki podatkowe – 13 proc. i 15 proc. – zastąpiono pięcioma: 13 proc., 15 proc., 18 proc., 20 proc. i 22 proc., nie zmieniło to jednak znacząco wpływów z tego tytułu.

Równocześnie Ministerstwo Finansów spodziewa się, że wpłaty z tytułu podatku od osób prawnych niemal nie wzrosną. To głównie efekt wcześniejszego zwiększenia tej daniny, skutkujący wysokim napływem środków do budżetu, który obecnie trudno będzie zwiększyć. Dochody z podatków od dywidend prawdopodobnie spadną.

Nie wiemy jeszcze, czy Kreml przewiduje zmiany w obecnym systemie wspierania przedsiębiorstw. Jednak zmiany w regule budżetowej sugerować mogą, że władze mogą chcieć przejść do mniej kryzysowego sposobu zarządzania gospodarką. Do systemu, który nie będzie tak bardzo oparty na krótkoterminowym reagowaniu, a bardziej na strategicznym planowaniu.

Zmiana narzędzi nie będzie oznaczać rezygnacji z centralizowania kryzysu. Jak pisał Kordoński, gospodarka dystrybucyjna jest historycznie stałym elementem istnienia obszaru, który dziś nazywamy Federacją Rosyjską. Okresy wprowadzania elementów rynkowych są raczej w jej historii wypadkiem, a nie normą.

Nie jest też zaskakujące, że ten model odpowiada włodarzom Kremla. Pozwala na manipulowanie zasobami, zapewnia kontrolę nad biurokracją, która zrasta się z systemem. I pozwala zagwarantować dochód zausznikom bez utraty kontroli nad nimi. ©

Autor jest ekspertem Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych, publikował m.in. w „Nowej Europie Wschodniej”, w latach 2007–2020 pracownik dyplomacji. Tekst jest wyrazem opinii własnych autora

Opoka na nową epokę

A gdyby Putin nagle opuścił ten łez padół? Można zakładać, że zastąpiłby go ktoś, kto nosi – lub jeszcze niedawno nosił – mundur. Doświadczenia innych dyktatur wskazują, że wiele z nich zamienia się w armiokrację

Mariusz

Janik

Pełzająca militaryzacja kremlowskich elit przyciąga uwagę analityków niemal od chwili, gdy Władimir Putin w pełni rozgościł się na Kremlu. „Od swego zwycięstwa w wyborach w 2000 r. Putin wciągnął do struktur władzy cały ciąg ludzi w mundurach” – pisali w ekspertyzie datowanej na 2003 r. Olga Krysztanowska i Stephen White, badacze z Rosyjskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu w Glasgow. „Obecnie co czwarty członek rosyjskiej elity wywodzi się z wojska lub służb bezpieczeństwa, a ich liczba nieustannie rośnie” – dodawali, przypisując to biografii Putina, jego znajomości kadr i przeświadczeniu, że to wśród mundurowych należy szukać odpornych na korupcję patriotów.

Dekadę później David Rivera i Sharon Werning Rivera, politolodzy związani dziś z nowojorskim Hamilton College, podważali tezę o militaryzacji rosyjskich elit na łamach „Post-Soviet Affairs”. „Twierdzenia o takiej militaryzacji w dużej mierze opierają się na jednostkowych analizach (...). Oparcie się na dostępnych danych pozwala wnioskować, że procentowy udział siłowników w elicie politycznej w trakcie dwóch pierwszych kadencji prezydenckich Putina sięgał ledwie połowy tego, o czym pisali badacze i donosiły media, a spadł dalej w czasie prezydentury Miedwiediewa. (...) Z drugiej strony trendy dostrzegane w poprzednich latach wskazują, że liczba siłowników (w strukturach władzy – red.) zacznie znów rosnąć w trakcie obecnej kadencji prezydenckiej Putina” – zastrzegali.

Tuż po publikacji tego tekstu Ukraińcy obalili prezydenta Wiktora Janukowycza, a Rosja uruchomiła hybrydową inwazję na wschodzie tego kraju. Cztery lata później publicysta portalu Riddle Russia – specjalizującego się w analizach na temat Rosji i obszaru postsowieckiego, zakazanego w Rosji od 2022 r. – szacował, że więcej niż co czwarty z gubernatorów w Rosji wywodzi się ze struktur siłowych, w rzą-

dzie zasiada co najmniej trzech ministrów ze stażem w KGB/FSB lub armii, wicepremierem jest były wojskowy Jurij Borysow (zrzucił mundur pod koniec lat 90.), pięć osób w gronie szefów dużych państwowych koncernów ma analogiczną kartę w biografii, a do tego trzech najbliższych doradców Putina to siłowiki, podobnie jak 20 proc. pracowników jego administracji. Ten autor z kolei zastrzegł, że siłownik siłownikowi nierówny – osoby zaliczane do tej grupy wywodzą się z rozmaitych struktur, o rozmaitym autorytecie i sile przebiecia. Rozrzucenie mundurowych po strukturze państwa sugerowało też, że są to osoby chętnie mianowane na stanowiska omijające konieczność wyboru, nie zawsze eksponowane. Pochód mundurowych przez strukturę państwa miał zatem charakter stopniowego przesiąkania.

I o tym też pisał, już jesienią 2022 r., Daivis Petraitis, doradca litewskiego ministerstwa obrony, na łamach periodyku tamtejszej armii. „W większości przypadków na świecie widzimy dziś wojskowe junty, zarządzające państwem, ale nieinterweniujące w inne sfery życia społecznego. Rosja za rządów Putina jest czymś innym: armia stała się tu siłą główną, dostawcą idei i wykonawcą zadań. Jest uwielbiana przez rosyjskie elity i rozprzestrzenia własną kulturę i wartości po całym społeczeństwie (...) Nazwano to armiokracją, dziś armiokracja zwiększa zasięg, struktury penetrują umysły i serca liderów kraju i przesuwały całe państwo do statusu, w którym społeczne, kulturalne, ekonomiczne wartości oraz inne sfery życia stają się zdominowane przez wojsko z dominacją percepcji mundurowych” – dowodzi Petraitis.

O ile ten trend się utrzyma – a nic dziś nie wskazuje, żeby miało się stać inaczej – następcą Putina w naturalny sposób może stać się ktoś, kto mundur nosi lub nosił go do niedawna, blisko związany i wspierany przez najsilniejsze z siłowych struktur. Cywile, którzy dziś stanowią twarz – ale nie mózg – Kremla, tylko przyklasną. Natomiast czy będzie to oznaczało kolejny spazm wielkorosyjskich rojeń – to już mogłoby być przedmiotem dyskusji. Dyktatury i au-



FOT. KOREAN CENTRAL NEWS AGENCY/KOREA NEWS SERVICE VIA AP/EAST NEWS

tokracje stopniowo przejmowane przez wojskowych, paradoksalnie, często tracą ideologiczny pazur. Choć proces ten bywa rozciągany na dekady i często bywa bolesny.

Był nacjonalizm, będzie mundur

Utworzenie stanowiska marszałka polowego, dożywotni immunitet, pełna kontrola nad wszystkimi rodzajami sił zbrojnych i zwielokrotnienie barier, które trzeba byłoby pokonać, aby odwołać szefa armii ze stanowiska – to główne elementy 27. poprawki do konstytucji Pakistanu, która w połowie listopada 2025 r. została w ekspresowym tempie przyjęta przez parlament i podpisana przez prezydenta. Główny beneficjent zmian, do niedawna generał i szef sztabu Asim Munir, zachowa też – mętnie opisane „prawa, obowiązki i rolę publiczną” nawet po przejściu na emeryturę.

– Dla mnie te zmiany są ostateczną wskazówką, być może najsilniejszą ze wszystkich, że Pakistan doświadcza dziś już nawet nie hybrydowego systemu władzy, ale wręcz posthybrydowego – komentował w rozmowie z BBC Michael Kugelman, były szef działu Południowej Azji w waszyngtońskim think tanku Wilson Centre. – Zasadniczo jesteśmy świadkami sytuacji, w której cywilno-wojskowa nierównowaga jest już tak zaburzona, jak tylko może być – kwituje.

Niejasność tego komentarza może być metaforą układu sił w Pakistanie. Republika – jako jedyna obok Iranu mająca w nazwie „islamskość” – dość szybko po narodzinach zaczęła się rozstawać z ideologiczną „czystością” z pism swojego najważniejszego twórcy Muhammada Alego Jinnaha (nazwę Pakistan można tłumaczyć jako „kraj ludzi czystych”, w sensie religijnej i ideologicznej czystości). Ze względu na permanentnie zaognione stosunki z Indiami pakistańska armia zawsze miała tam

wiele do powiedzenia, ale od 1958 r. jej interwencje przybrały postać powtarzających się zamachów stanu, które przynosiły kolejnych prezydentów mundurowej proveniencji: Ayuba Khana, Yahę Khana, Muhammada Zię ul-Haqę czy Perweza Muszarrafa. Ale nawet w cywilnych „interwałach” pomiędzy okresami bezpośredniej władzy wojskowych, cywilni liderzy – jak Nawaz Szarif czy Benazir Bhutto – wiedzieli, że interesów kompleksu wojskowego nie należy naruszać.

Kilka miesięcy temu think tank z Islamabadu – Economic Policy & Business Development – opublikował ranking największych firm w Pakistanie. Listę otwiera wyceniona na 5,9 mld dol. Fauji Foundation, ale to tylko forpoczta firm, funduszy i fundacji bezpośrednio lub pośrednio związanych z wojskiem, które trzęsą pakistańską gospodarkę. Ich udział w gospodarce może sięgać kilkudziesięciu procent (według politolożki Ayeshy Siddiqi, która doszła do takich wniosków w pracy „Military Inc.”

Przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Un na spotkaniu z generalicją. Pjongjang, 10 lutego 2025 r.

opublikowanej pierwotnie w 2007 r.), roczne obroty – kilkudziesięciu miliardów dolarów, udział we własności gruntów w Pakistanie – 12 proc. A gdzie Milbus – jak określa się wojskowo-gospodarczy kompleks – jeszcze nie jest bezpośrednio obecny, tam dyktuje warunki: w styczniu 2025 r. „Financial Times” opisał, jak do koszar w Rawalpindi wezwano właścicieli pobliskich farm wiatrowych i kazano im obniżyć ceny prądu. – Jak się nie dostosujecie, oni przejmą sprawę – powiedzieli przedsiębiorcom prowadzący spotkanie biurowe, wskazując na stojących pod ścianami mundurowych. ▷

Gdzie drwa rąbią, tam wióry leżą: w grudniu wojskowy sąd skazał na 14 lat więzienia byłego szefa wszechpotężnego wywiadu wojskowego ISI Faiza Hameeda. Wyrok dla generała był wydarzeniem w Pakistanie bezprecedensowym, ale tu nie chodziło o związki z terrorystycznymi ugrupowaniami z Kaszmiru czy pogranicza z Afganistanem. Hameed wyłamał się z wojskowego szeregu i w czasach, gdy kierował ISI (2019–2021) otwarcie popierał ówczesnego premiera cywila, dawną gwiazdę krykieta, Imrana Khana. A ten z kolei uwikłał się w spory z Milbusem, więc nawet szybka dymisja Hameeda po upadku rządu Khana nie domknęła rachunku krzywd.

Casus Pakistanu można by uzupełnić dwoma analogicznymi przykładami: Egiptu i Turcji. W pierwszym z tych krajów przed wieloma laty próbowano ułożyć fundamenty panarabskiego nacjonalizmu, z socjalistyczną i laicką nutą: nazywanego potem naseryzmem. Było to marzenie życia Gamala Abdela Namera, które jednak zaczęło rozsypywać się jeszcze za jego życia – po klęsce państw arabskich w wojnie sześciodniowej w 1967 r. Śmierć Namera trzy lata później dopełniła losu arabskiej jedności – ani Anwar Sadat, ani Hosni Mubarak, mimo formalnie deklarowanej ciągłości ideologicznej, nie mieli za grosz sentymentu do reszty świata arabskiego i stopniowo zrywali z koncepcją arabskiej unifikacji. Dzisiejsza mundurowa dyktatura marszałka Aba al-Fattaha as-Sisiego, pomimo odziedziczonych jeszcze po Naserze dekoracji, nie ma już z Egiptem lat 50. i 60. nic wspólnego.

Tak też było i w Turcji. Z koncepcji Mustafy Kemala – Atatürka – już w latach 40. zostały ledwie strzępy, wszechobecne portrety wodza i łańcuch alfabet. Armia formalnie zakotwiczyła się w kwestii laickości państwa – co było zresztą dosyć fasadowe, bowiem od lat 50. każdy reporter, który odwiedzał ten kraj, opisywał potem „renesans islamu w Turcji” – i okopała w swoim kompleksie finansowo-biznesowym, którego awangardą był OYAK (Ordu Yardımlaşma Kurumu, Instytucja Solidarności Wojskowej) – fundusz emerytalny, który przez sześć dekad istnienia stał się konglomeratem biznesów, od górnictwa przez nieruchomości, przemysł motoryzacyjny, budowlankę, bankowość, energetykę po spożywkę.

Co więcej, mogłoby się wydawać, że obecny prezydent Turcji – Recep Tayyip Erdoğan – po latach przetrzącił wojskowym kręgosłup i odsunął ich od polityki. Owszem, może szefowie sztabu już dziś nie grożą premierom i prezydentom zamachem stanu. Kadry oficerskie sprzed lat zastąpił nowi ludzie, afiszujący się religijnością i poparciem dla „Sułtana”, jak złośliwi nazywają Erdoğan. Ale OYAK wydaje się funkcjonować bez większych zakłóceń, obraca pieniędzmi szacowanymi na 20 mld dol. rocznie, „dowodzi” stanowiska menedżerskie dla emerytowanych mundurowych i nie stał się firmą bardziej przejrzystą, niż był przez ponad sześć dekad istnienia.

Reżim strażników

„Studio programu trzeciego IRTV w Teheranie. Za chwilę znacznie się ostatnia debata przedwyborcza” – wspominał kampanię prezydencką w Iranie w 2009 r. Hooman Majd, autor reportażu „Demokracja ajatollahów”. „Mehsen Rezaei, były dowódca Strażników Rewolucji i jedyny konserwatywny rywal Ahmadineżada (również związanego w przeszłości z tą formacją – red.), przechodzi obok stosu teczek prezydenta. Teczka leżąca na samej górze jest podpisana nazwiskiem syna Rezaiego, który kilka lat temu wyjechał do Stanów, gdzie postanowił zostać, domagając się azylu politycznego. Szybko jednak zmienił zdanie i po kilku miesiącach wrócił do Iranu. Sprawę wyciszono, a chłopak nie poniósł żadnych konsekwencji. (...) Rezaei spogląda groźnie na Ahmadineżada. «Słowo o moim synu, a dobiórę się do całej twojej rodziny» – mówi, jak twierdzą świadkowie w studiu” – opisywał.

Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej, nazywanych też pazdarami, formalnie powołano do życia zaledwie trzy miesiące po ucieczce szacha na początku 1979 r. Choć w czasie rewolucji armia odwróciła wzrok – większość oddziałów pozostała w koszarach, nie chcąc pacyfikować ulicznych demonstracji i ścigać dozbajających się rewolucjonistów – ajatollah Chomeini jej nie ufał. Tym bardziej nie ufał tym rewolucjonistom, którzy mieli broń i nie wahali się jej użyć: formacjom takim jak mudżahedini ludowi, fedaini ludowi czy komuniści z partii Tudeh. Pomysł stworzenia paralelnej armii zakiełkował szybko, a impetu nadała mu rozprawa z wspomnianymi formacjami wkrótce po upadku szacha oraz atak Saddama Husajna na Iran w 1980 r.

Pazdarzy powoli, ale konsekwentnie budowali swoją pozycję. W czasie ośmiu lat wojny z Irakiem Saddama zasłynęli z wysyłania na pola minowe chłopców, którym zawieszano na szyjach plastikowe klucze, jakimi mieli sobie otwierać furtkę raj. Po wojnie stali się zbrojnym ramieniem reżimu i narzędziem jej „eksportu” do innych krajów regionu; elitarna jednostka Ghods (Jerozolima) została założona w 1988 r. i w ciągu kilku kolejnych lat wzięła na siebie wiele zadań: szkolenie sił Hezbollahu w Libanie, zamachy na izraelskie cele w Argentynie, polowanie na przeciwników reżimu w Iranie i za granicą. Wkrótce pazdarzy wzięli się też do budowy irańskiego programu nuklearnego. Z drugiej strony basidze – formacja Korpusu pełniąca funkcję policyjnych sił prewencji – zasłynęli z rozpędzania demonstrujących przeciw reżimowi albo nalotów na mieszkania właścicieli anten satelitarnych. Do Korpusu płynęły pieniądze i ochotnicy, armia stała się formacją pojawiającą się niemal wyłącznie na defiladach.

Równolegle rozwijało się też gospodarcze imperium Korpusu. Emanuele Ottolenghi, autor książki „The Pasdaran. Inside Iran’s Islamic Revolutionary Corps”, cytuje szacunki, według których od 25 do 40 proc. irańskiego PKB jest kontrolowane przez przedsiębiorstwa związane z Korpusem. Budują one rurociągi, infrastrukturę drogową i kolejową, nieruchomości, mają swoje ba-

stiony w bankowości, telekomunikacji, energetyce, przemyśle ciężkim. Ba, zajmują się nawet kontrabandą – np. jedna z formacji podobno wyspecjalizowała się w szmuglowaniu do Iranu alkoholi z Turcji. I ta gospodarcza potęga nie zrodziła się przypadkowo: można przypuszczać, że ajatollahowie chcieli uniezależnić się od bazarich – grupy konserwatywnych drobnych i średnich kupców, prowadzących interesy głównie na targach, których datki pozwoliły sfinansować rewolucję islamską, ale też czynili z przedstawicieli reżimu potentatów. Dziś reżim – i Korpus – można by rzec, żywią się same.

A przede wszystkim od pierwszej dekady tego stulecia trwa inwazja byłych dowódców i oficerów Korpusu na polityczne salony. Już 20 lat temu oceniono w jednej z analiz, że co trzeci deputowany irańskiego Madżlisu (parlamentu) wywodzi się z formacji. Konia z rzędem temu, kto byłby w stanie wskazać jakieś wschodzące gwiazdy na firmamencie politycznym Iranu, duchownych czy cywilów. Za to nie trudno powiedzieć, kto był legendą polityczną ostatnich lat: Ghosem Solejmani, dowódca jednostki Ghods, którego karierze kres położyła w 2020 r. amerykańska rakietą na lotnisku w Bagdadzie. Wokół sędziwego ajatollaha Alego Chameneiego coraz mniej widać weteranów rewolucji, a coraz więcej pazdarów. W kraju nie pojawił się ani jeden ajatollah o autorytecie porównywalnym z autorami rewolucji islamskiej. I można śmiało powiedzieć, że Izrael – podejmując decyzję o bombardowaniach Iranu kilka miesięcy temu – świadomie ominął Najwyższego Przywódcę i innych duchownych. Oni po prostu niewiele dziś znaczą, „reżim ajatollahów” nieubłaganie zmienia się w „reżim strażników”.

Najpierw armia

Dwadzieścia lat temu umarła też Korea Północna, jaką znaliśmy: niepostrzeżenie doktryna dżucze, samowystarczalności, zaczęła znikać z wykładni władzy w Pjongjangu, a zastąpiła ją strategia songun jeongchi, czyli najpierw armia. Hasło rzucił w 2006 r. Kim Dzong Il, być może szukając ideologicznej trawy ratunkowej po tym, jak sprowadził na rodaków bezprecedensową klęskę głodu (a jedyną względnie dobrze nakarmioną grupą byli żołnierze). „Głębokie osadzenie songun w kulturze politycznej kraju podkreślano raz za razem w miesiącach po jego śmierci, od upamiętniających go przemówień, sloganów politycznych po dzieła sztuki i poematy na cześć zmarłego przywódcy – Songun była umieszczana na dominującej pozycji północnokoreańskiej ideologii” – piszą Steven Denney, Christopher Green i Adam Cathcart, współautorzy pracy „Change And Continuity in North Korean Politics”. Jego syn przejął i wzmocnił ten filar polityki.

Ale w praktyce sprawy zaszły znacznie dalej. Wspomniani eksperci zaznaczają, że ze względu na formalnie niezakończoną wojnę koreańską armia zawsze miała w Korei Północnej więcej do powiedzenia niż w innych państwach komunistycznych. Ale też do-

szedł do tego inny czynnik: Kim Dzong Il jeszcze za życia swojego ojca Kim Ir Sena, budował swoją pozycję następcy na karierze wojskowej. Ugrunto wywał ją awansami dla setek oficerów i wymianą mundurowej wierzuszki. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza instytucje wojskowe wymknęły się spod kontroli partyjnej i zaczęły sprawować kontrolę nad partią. Armia kontroluje północnokoreańskie politbiuro, siłowe struktury rządu, fasadowe instytucje polityczne i znaczną część centralnie sterowanej gospodarki. Eksperci obecnie zakładają, że Kim Dzong Un zmierza do ukrócenia wpływów mundurowych – ich reprezentacja w Politbiurze czy na partyjnych Kongresach nieco się skurczyła – ale wciąż sześciu z trzydziestu członków politbiura to wojskowi, a w Kongresie partii zasiada ich ponad czterystu. Na większości zdjęć dokumentujących znaczące wydarzenia w kraju dominuje zielen munduru z tęczowymi plamkami orderów.

O armiokrację otarła się też Kuba. Armia od czasów rewolucji Fidela Castro była uważana za „numer dwa” w systemie władzy, jednak nawet lider zwykle wydawał się lepiej czuć w mundurze niż w garniturze. Cieszyła się też aurą sukcesu: odparcie inwazji w Zatoce Świń, interwencje w Angoli czy Etiopii przyczyniły się do budowy legendy instytucji wyjątkowo skutecznej, za to oddalonej od lokalnych przepychanek, korupcji i błędów partii. Paradoksalnie lepiej wśród mundurowych czuł się jednak Raul Castro – i to on, po śmierci Fidela, zaczął wciągać ich do struktur władzy. – Po tym, jak został prezydentem Kuby, wymienili większość członków gabinetu odziedziczonego po Fidelu na ludzi z własnego zaciągu – twierdził William M. LeoGrande, amerykański ekspert ds. Ameryki Łacińskiej. W 2014 r. ośmiu członków gabinetu wywodziło się z sił zbrojnych, z czego trzech wciąż pełniło służbę. Na 10 wiceprzewodniczących Rady Ministrów, pięciu było wojskowymi (plus Raul). Z 13 członków politbiura, czterech było czynnymi wojskowymi, a jeden – emerytowanym generałem. Dziś w administracji Miguela Diaza-Canela wojskowi nie są tak widoczni. Ale ich wpływ na politykę Hawany nie ustał: w politbiurze, na 14 członków trzech wywodzi się z wojska – w tym minister obrony i generał korpusu Álvaro López Miera czy awansowany niedawno na generała korpusu Lázaro Alberto Álvarez Casas. Eksperci twierdzą, że wojskowi ci pilnują, żeby cywile nie podejmowali decyzji bez skonsultowania się z armią.

Przykłady zapewne można by mnożyć, a w kolejce „zieleniejących” reżimów ustawiać Białoruś, Wietnam, Etiopię, a nawet – Chiny. Ideologie, zwłaszcza radykalne i zakładające wcielanie ich w życie zamordystycznymi metodami, z czasem bowiem blakną i tracą rewolucyjny urok, co paradoksalnie dotyka zarówno komunizmu, jak i teokracji. Wtedy przychodzi czas instytucji będącej – przynajmniej pozornie – odporną na korupcję i ideologiczne dewiacje opoką: armii. Być może właśnie taka epoka się rozpoczyna: ©



FOT. WOJTEK GORSKI

Czarna materia w działaniu

Piotr Skwieciński

„Między Moskwą a Waszyngtonem koordynacja w sprawie kwestii ukraińskiej weszła na poziom znacznie wyższy niż przyjęto publicznie przyznawać. I na wiele aspektów tej kwestii gospodarz Białego Domu patrzy teraz oczyma rosyjskiego kolegi” – do takiego wniosku doszedł rosyjski komentator Maksim Jusin z „Kommiersanta” po niedawnej konferencji Donalda Trumpa po rozmowach z Wołodymyrem Zeleńskim. Nie chcę przesądzać, na ile Jusin ma rację, a na ile daje się powodować własnymi życzeniami. Istotniejsze jest, iż nie jest w swojej ocenie odosobniony – ani w Rosji, ani na Zachodzie.

Intuicyjne przejmowanie przez Trumpa (a jeszcze bardziej przez jego otoczenie) rosyjskiej perspektywy jest mocno zauważalne. Zarówno jeśli chodzi o przyjmowane lub odrzucane propozycje rozwiązań pokojowych, jak i w nieco trudniej uchwytej kwestii nastawienia, odruchowego bycia po tej albo przeciwnej stronie barykady.

A także – wreszcie – w kwestii samego pojmowania procesu pokojowego.

– Kompletnie nie obchodzi mnie, co się stanie z Ukrainą – tak w 2022 r. mówił kandydujący do Senatu J.D. Vance, obecny wiceprezydent USA. Podobnych kwestii wygłaszanych przez koryfeusza ruchu MAGA można by cytować tak wiele, że problemem byłoby dokonanie wyboru. – Putin jest bardzo hojny i chce, by Ukraina rozwijała się i osiągała sukces – przekonywał prezydent USA po spotkaniu z Zeleńskim i telefonicznej rozmowie z Putinem.

Ten idiota Kellogg

Można by też zwrócić uwagę na to, że kiedy gen. Keith Kellogg, który od pierwszej kadencji Trumpa jest jego wysłannikiem ds. Ukrainy i Rosji, powiedział prezydentowi (zachwyconemu nagraniem przedstawiającym defiladę na Placu Czerwonym), że „Rosja nie jest niezwyciężona”, popadł w niełaskę. Kiedy zaś Trump spytał go z wyrzutem: „Nazwałś Zeleńskiego przywódcą odważnym w trakcie konfliktu?”, i gdy Kellogg odpowiedział: „Tak, panie prezydencie, dla Ukrainy to jest wojna o przeżycie; ostatnim amerykańskim przywódcą, który prowadził taką walkę był Abraham Lincoln”, prezydent ocenił później tę konwersację i samego Kellogga słowami: „Ten facet jest idiotą”.

Generała w negocjacjach z Kremlm zastąpił więc deweloper Steve Witkoff, który w imieniu Putina wręczył rodzicom Amerykanina, poległego w walce po stronie Rosji, rosyjski order. Zaś w trakcie negocjacji z przedstawicielem Ukrainy, gdy ten opierał się przed oddaniem kontrolowanej przez Kijów części Donbasu, kluczowej dla dalszej obrony z racji ufortyfikowania, powiedział: – Dlaczego nie chcecie oddać tej resztki? Przecież tam nie ma żadnych godnych zainteresowania surowców...

Trudno o bardziej spektakularny wyraz tego, w jaki sposób ekipa Trumpa pojmuje nie tylko konflikt ukraiński, ale generalnie politykę światową. Choć tak naprawdę idzie to jeszcze dalej. Bo sam prezydent, jak na podstawie rozmów z wieloma źródłami w administracji napisał „The New York Times”, uważa, że ma osobisty i silny związek z Putinem.

Ale jest też coś jeszcze. Reakcje Trumpa na ukraińskie sukcesy, jak np. na jesienne uderzenie na lotniska na całym terytorium Federacji czy na (niepotwierdzony przez Kijów) atak na rezydencję Putina, zdają się sugerować, że skuteczna czteroletnia samoobrona mniejszego państwa przed supermocarstwem z jego punktu widzenia nie tylko nie jest imponująca, lecz także jest czymś w rodzaju moralnego skandalu. Małym, nieważnym kraikom nie wolno tak postępować ze światowymi potęgami...

Wreszcie – słoń w salonie, który jest aż tak oczywisty, że wyrafinowani analitycy, zajęci komentowaniem mniej ważnych zmian, albo go nie dostrzegają, albo nie przydają mu znaczenia dostosowanego do rzeczywistości. Chodzi o to, że w przyjętej ostatnio Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Rosja przestała być klasyfikowana jako „direct threat” (zagrożenie bezpośrednie).

Dezaktywacja sprężyny?

Zadaję więc pytanie: na czym opiera się wiara tych, którzy demonstrują pewność, że – jeśli Ukraina przestanie być niezależnym od Rosji bytem – wobec obszarów na zachód od Bugu amerykańskie podejście będzie na pewno odmienne?

Jakiś czas temu sformułowałem pojęcie sprężyny – tajemniczego, lecz bardzo silnego czynnika zawsze ciągnącego Trumpa i jego ekipę ku Rosji. Nie wiem, czym dokładnie ta sprężyna jest. Ewidentnie to coś więcej niż (skądinąd bardzo istotnie wpływające na POTUS-a) nieustające pragnienie dokonania z Moskwą „wielkiego dealu”, dopuszczenie Amerykanów (zapewne tych związanych z Trumpem i jego rodziną) do eksploatacji surowców Arktyki czy wspólnych biznesów związanych z rozwojem AI. Nie jest to też tylko pragnienie (w oczywisty sposób nierealne) osłabienia osi Moskwa-Pekin. Nie wiem, czym jest ów nieznanym czynnikiem. Mogę jednak założyć jego istnienie, bo wszyscy widzimy jego działanie – tak jak fizycy są pewni istnienia ciemnej materii. Bo chociaż jej nie dostrzegają, to obserwują wywierane przez nią efekty.

A skoro owa sprężyna istnieje i jest tak silna, niby dlaczego miałyby przestać działać po hipotetycznym podporządkowaniu Ukrainy przez Rosję? Potrafię wyobrazić sobie rozwój sytuacji, który sprężynę czasowo dezaktywuje. Ale mogę też wyobrazić sobie i warianty, w których tak się nie dzieje – i sprężyna będzie działać dalej. Z siłą co najmniej taką jak obecnie, ale już nie na niekorzyść Kijowa, tylko Warszawy.

Dezaktywacja sprężyny mogłaby nastąpić wtedy, kiedy ewentualny upadek Ukrainy i oddanie jej Moskwie spowodowałby nie tylko realny, lecz także tak spektakularny, że nie do ukrycia, krach

Jeśli wojna skończy się klęską Ukrainy, to jakie miałyby to konsekwencje dla Polski? Jak nasz region potraktowałaby wtedy republikańska administracja?

w amerykańskim systemie sojuszy. Przy czym chodzi o kryzys uderzający w interesy Waszyngtonu w tych obszarach, które obecna administracja uznaje za kluczowe. Czyli w pierwszym rzędzie w rejonie Indo-Pacyfiku. Gdyby stało się oczywiście, że np. Australia, Korea, Japonia i Wietnam (a może i Tajwan?) uznają, iż sojusz z Ameryką nie gwarantuje im bezpieczeństwa przed Chinami, i zaczynają gwałtownie żeglować w stronę neutralności albo wręcz układać się pod Pekin...

Tak, wtedy POTUS i jego otoczenie mogliby uznać, że dalsze wycofywanie się z Europy błyskawicznie pogłębi załamywanie się amerykańskiej wiarygodności również tam, gdzie będzie to dla Waszyngtonu wyjątkowo bolesne. I wtedy moglibyśmy uznawać gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA za (raczej) pewne. I to jest prawdopodobne. Ale gdyby upadek Ukrainy nie spowodował aż tak spektakularnych skutków?

Zamknąć okno możliwości

Wtedy sprężyna funkcjonowałaby dalej w najlepszej. Również wtedy, kiedy Rosjanie rozpoczęliby – w tej czy innej formie – naciski, zmierzające do neutralizacji (w dalszej perspektywie mającej pociągnąć za sobą ekspansję) naszej części kontynentu. A gdyby Moskwy w międzyczasie nie spotkało załamanie wewnętrzne (czego w wypadku odniesienia przez nich zwycięstwa w Ukrainie trudno się spodziewać) rozpoczęliby je uskrzydleni sukcesem. To jest przecież nie tylko nieukrywany, lecz także jasno artykułowany – np. żądania szefa dyplomacji Siergieja Ławrowa z grudnia 2021 r. – kierunek ich działań.

Kierunek to w rosyjskim myśleniu kompletnie oczywisty. Który zapewne dodatkowo byłby intensyfikowany kontynuowaniem forsownego planu zbrojeń realizowanego przez Niemcy (zerwaniem z pacyfistyczną tradycją, owocuującą zamierzeniem stworzenia w krótkim czasie najsilniejszej armii Europy) i Polskę. Te zbrojenia oznaczają, że w świadomości Moskwy niedługo zamknie się okno możliwości, musi więc ona działać szybko. Skoro niemiecki minister obrony Boris Pistorius mówi, że „żołnierze niemieccy, w razie ataku Moskwy na państwo członkowskie NATO, będą gotowi zabijać żołnierzy rosyjskich”, to warto się spieszyć, póki jeszcze nie są gotowi.

Co na to Amerykanie? W ich postawie przeważają czynniki dla nas pesymistyczne. Bo polityka Trumpa działa nie tylko w myśl algorytmu biznesowego. Także, w co najmniej równej mierze – ideologicznego. A zakładając, że Europa nie spełni ani biznesowych, ani ideologicznych postulatów amerykańskich i nie doszłusuje do rewolucji MAGA – czy będzie w myśleniu rządzących Waszyngtonem (teraz Trumpa, a za trzy lata najprawdopodobniej Vance’a) godna obrony? Przecież dla nich fakt, że jakiś kraj jest demokratyczny, przestał być sam w sobie argumentem na rzecz jego wsparcia. Ukraina jest demokratyczna, w odróżnieniu od Rosji, co w żadnej mierze nie wydaje się wpływać na procesy decyzyjne Białego Domu.

Kryterium wsparcia pozostaje religijność – postulat obrony chrześcijaństwa bywa nośny wśród republikanów; przykładem choćby bożonarodzeniowe uderzenie Amerykanów w islamistów nigeryjskich. Ale Europa to kontynent akceptujący zainikanie wiary, zaś Rosja ogłasza się chrześcijańską. ▷

Odnajmijmy tu fakt, który z biegiem czasu musi zacząć odgrywać istotną rolę: od kilku lat powiązane z Rosją struktury Cerkwi prawosławnej w Ameryce notują rekordową liczbę konwertytów – młodych, białych mężczyzn, których prawosławie pociąga jako wyznanie w największym stopniu antywoke i antyfeministyczne.

Zacytujmy raz jeszcze nową amerykańską strategię bezpieczeństwa: „Zdecydowana większość Europejczyków chce pokoju (z Rosją – red.), lecz pragnienie to nie przekłada się na politykę – w dużej mierze z powodu obchodzenia procesów demokratycznych przez rządy”. Czy taka interpretacja sytuacji automatycznie przestanie obowiązywać w momencie, w którym Putin zaspokoiliby swoje ambicje względem Ukrainy? Czy Waszyngton nie powiedziałby podobnie, gdyby zmaterializował się nacisk Moskwy wobec wschodniej flanki NATO?

Ważymy za mało

Czy w wypadku, gdyby zaistniały jednocześnie te wszystkie czynniki (upadek Ukrainy nie powoduje destrukcyjnych konsekwencji dla interesów USA, niepodporządkowanie się Europy Waszyngtonowi, zdecydowany nacisk rosyjski), Polska miałaby szansę zostać przez MAGA-owski Waszyngton potraktowana inaczej? Stać się sama przez się przyczyną odmowy Amerykanów dokonywania dalszych, żądanych przez Kreml, ustępstw?

Jestem sceptyczny. Samodzielna waga naszego kraju w sytuacji, w której USA nie postrzegająby konfrontacji z Rosją jako swojego egzystencjalnego interesu, jest dla Ameryki znikoma. Dlatego sytuacji, w której pozostając w konflikcie z rdzeniem Europy, Waszyngton decyduje się na ostre zachowania w obronie jej wschodnich obrzeży, nie można wprawdzie wykluczyć, ale trudno na tym scenariuszu budować bezalternatywną wizję polskiej polityki w wypadku zaistnienia śmiertelnie dla nas poważnej zmiany geopolitycznej.

Zwłaszcza że nie sposób też z góry uznać za nieprawdopodobny i nieco innego wariantu. Że sama zachodnia Europa, znużona konfliktem, pogrążona w kryzysie i przestraszona przez Rosję, dochodzi do wniosku (przy czym może to uczynić zarówno mainstreamowa, jak i altrightowa część sceny publicznej), że Polska z Litwą i tak są w Europie na doczepkę i nie są warte konfrontacji ze zwyciężającą Moskwą. I nie sądzę, by zalecana przez wielu dla unieprawdopodobnienia tego scenariusza strategia mimikry, manifestacyjnego kulturowego upodobniania się do nadających ton państw „starej Unii”, przyjmowania euro itd. sama w sobie mogła uchronić nas od tego. Podobnie jak manifestacyjna lojalność wobec Trumpa nie jest remedium na ewentualność realnego zgłoszenia wobec naszego kraju désintéressement przez Waszyngton.

Gdy w 1938 r. upadała Czechosłowacja, niemal wszyscy Polacy – i twórcy polityki zagranicznej, i ci zwykli – ponad podziałami dzielali jedno wspólne założenie. Że z Polską nie może się stać podobnie. Bo przecież Polska to coś innego, inny rząd jakościowo w świecie państw niż jakaś tam Czechosłowacja...

To nieprawda

Celem tekstu nie jest zaproponowanie konkretnej strategii zachowania się rządzących Polską (ktokolwiek to będzie) w wypadku materializacji najgorszych dla nas scenariuszy – aby dramat nie stał się tragedią. Sądzę jednak, że aby ta strategia miała szansę się pojawić, należy najpierw zacząć dopuszczać do siebie myśl, że te scenariusze, choć nie są pewne, to są niewykluczone.

A z tym mamy wyraźnie trudność. Bo – zwłaszcza w ostatnim czasie – obserwując i dyskusje specjalistów, i zwykłych ludzi łatwo dojść do wniosku, iż większość Polaków w coraz większym stopniu uważa, że jeśli o czymś się nie będzie mówić, to na pewno to nie nastąpi. Ale to nieprawda. ©©

Autor jest publicystą. W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie, w latach 2023–2024 ambasadorem RP w Armenii

Kraj

Spokojnie i na chłodno

Nawet przy najbardziej optymistycznym wariacie trzeba sobie zadać szersze pytanie o polską politykę w tym zmieniającym się świecie

Z Radostawem

Foglem

rozmawia

Marcin Fijołek, Polsat

Umówmy się, że na czas tej rozmowy zapominamy o polsko-polskiej wojnie. Spróbujmy. (śmiej)

Jako postowie komisji spraw zagranicznych regularnie odwiedzacie USA. Oficjalnie, nieoficjalnie – jak czytać sygnały, które płyną z Waszyngtonu? Mamy się bać? Cieszyć?

Podejść do nich na chłodno. Szczerze mówiąc, gdy rozmawiamy z przedstawicielami administracji USA, kongresmenami i otoczeniem prezydenta, to niemal wszyscy w dużej mierze starają się uspokajać, podkreślając, że sojusze były, są i pozostają istotne. Tyle że sposób realizowania współpracy w ramach tych sojuszy się zmienił. Pamięta pan szczyt NATO w Hadze? To spotkanie przyniosło rezultaty, które spełniają oczekiwania artykułowane przez Waszyngton nie od wczoraj; niektórzy wieszczili wręcz rozpad Paktu, co się nie wydarzyło, ale za to osiągnięto zgodę europejskich sojuszników na większą partycypację finansową. Aczkolwiek nie ma co ukrywać, że w szerszym ujęciu problemu, zwłaszcza gdy rozmawia się z analitykami, przedstawicielami think tanków w Waszyngtonie, to niezależnie od poglądów panuje zgoda co do tego, że mamy do czynienia z nową erą.

Da się o tym powiedzieć coś więcej niż „chaos”? Dla jednych to znów koncert mocarstw, dla drugich powrót do doktryny

Monroego (fundament polityki izolacjonizmu – red.), przechrzczonej obecnie na doktrynę Donroego. A jeszcze inni podkreślają zmianę zasad, jeśli chodzi o globalne stosunki gospodarcze, bo pewien ład trzymany w ryzach przez Światową Organizację Handlu także dobiega końca. Na tym tle akcja w Wenezueli pokazuje determinację administracji USA, by utrzymać pełną dominację na zachodniej półkuli, a zwłaszcza w rejonach, które w bezpośredni sposób mają wpływ na USA i ich bezpieczeństwo. Sekretarz stanu Marco Rubio nieco skorygował slogan „America First”, mówiąc „Americas first”. Coś w tym jest.

Nikt nie będzie opłakiwał ani Madura, ani żałował rosyjskich wpływów w tamtym regionie. Bardziej martwi mnie precedens: prawo międzynarodowe zostało uznane za świstek papieru, a po Wenezueli przychodzą coraz głośniejsze pohukiwania na temat przyłączenia Grenlandii do USA. Sama sytuacja w Wenezueli też nie jest czarno-biała, Amerykanie starają się jednak przedstawiać argumentację mającą dowodzić, że przestrzegają zasad – podkreślają, że Maduro nie był legalnym prezydentem, ergo nie miał immunitetu, cała operacja była tak naprawdę schwytaniem przestępcy itd. Ale trzeba sobie powiedzieć wprost, że sposób działania Trumpa w sprawie Grenlandii i jego naciski na Danię to jednak coś bez precedensu. Choć zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi, warto cofnąć się w czasie...

A może po prostu przyznać, że w Wenezueli chodzi o ropę, a w przypadku Grenlandii o minerały. Trump mówi o tym niemal wprost.

WYWIAD

I tak, i nie, bo przecież pierwsze pomysły ustanowienia dominacji USA nad Grenlandią pojawiły się już w 1867 r., z kolejnymi intensywniejszymi próbami w XX w. Po zajęciu Danii przez Niemcy Grenlandia była de facto protektorem Stanów Zjednoczonych. Wystarczy szybki rzut oka na globus – Grenlandia leży między USA a Rosją, to kluczowy obszar z punktu widzenia doktryny obronnej Stanów Zjednoczonych. W grze jest śledzenie chińskich i rosyjskich łodzi podwodnych, stacje nasłuchowe, przechwytywanie rakiet międzykontynentalnych...

Gdyby chodziło tylko o to, to Waszyngton zwróciłby się do Kopenhagi o możliwość rozlokowania na wyspie dodatkowych baz wojskowych – nie sądzę, żeby Dania i NATO miały coś przeciwko. W Stanach pojawiają się obawy, czy Dania – i szerzej: Europa – są w stanie zapewnić bezpieczeństwo Grenlandii. I dlatego trzeba robić wszystko, by Amerykanie osiągnęli jednak porozumienie z Danią, a sama Grenlandia – przy całej złożoności jej statusu, dążeń do niepodległości etc. – nie stała się pretekstem do konfliktu dwóch państw w ramach NATO. Może rozwiązaniem byłoby dużo większe zaangażowanie europejskich członków Sojuszu w strategiczną obecność na wyspie, co mogłoby udowodnić Amerykanom, że „nasza” strona rozumie te obawy i wagę Grenlandii, jeśli chodzi o bezpieczeństwo samych Stanów. Inaczej – nie ma co ukrywać – jeżeli przy każdym pytaniu dziennikarzy o Grenlandię wysoko postawieni urzędnicy amerykańscy mówią, że prezydent zawsze ma prawo użyć opcji siłowej, budzi to zrozumiałą niepokój. Ostatnie, co jest nam dziś potrzebne w tym niepewnym świecie, to dodatkowe napięcia w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego. Do tej pory jedyny problem, jaki mieliśmy, to tarcia między Turcją a Grecją. Ale Bogiem a prawdą, równie dobrze może się też okazać, że cała historia w sprawie Grenlandii skończy się tak, jak równie głośne plany uczynienia z Kanady 51. stanu Ameryki. Wszyscy już o tym zapomnieli.

Mówi pan o tym spokojnie, ale przecież to dekonstruuje prawie każde przykazanie, jakiego uczyliśmy się o świecie z podręczników, a później z prowadzonej dyplomacji. I nie mam na myśli tanich hasel o końcu historii, ale o podstawowym poczuciu bezpieczeństwa. Jak powinniśmy się w takim czasie zachować? Mówię spokojnie, bo łatwo przecenić to, co się dzieje, i wpaść w spiralę emocji, która będzie nieadekwatna do tego, co realnie się wydarzy. Mieliśmy okazję przy tej administracji przekonać się o tym nie raz i nie dwa. Ale zgadzam się, że nawet przy najbardziej optymistycznym wariacie, trzeba sobie zadać szersze pytanie o polską politykę w tym zmieniającym się świecie. Co ważne, jesteśmy dziś w innym miejscu niż te prawie 30 lat temu, gdy wstępowaaliśmy do NATO. Sojusz jest dla nas kluczowym elementem bezpieczeństwa,

ale to, co się dzieje w armii w ostatnich latach, pokazuje, że nasze własne zdolności obronne są niemałe i stale rosną. Musimy to kontynuować i dbać o własne bezpieczeństwo.

Abdykacja USA z roli pewnego stróża porządku – być może tego liberalnego, ale jednak – jest faktem. Czytał pan nową strategię bezpieczeństwa Stanów? Tak.

Gdzie jest w tym nowym układzie sił miejsce dla nas? Mamy być tymi, którzy mają pomóc Waszyngtonowi w rozsadzeniu UE od środka?

Cała ta strategia była i pewnie będzie jeszcze wnikliwie analizowana – stawia bowiem nieco większe i nieco inne wymagania niż dotychczas wobec sojuszników USA. Warto odczytać ten dokument nieco szerzej: zobaczyć, jak Amerykanie widzą dziś rolę Korei, Japonii, a nawet w pewnych praktycznych elementach Tajwanu. Nie wiem, czy to pocieszające, ale to nie jest strategia po prostu antyeuropejska, a w dodatku w oparciu na jakiejś fobii wobec UE, inne części świata są traktowane podobnie. Są tam pewne sugestie chęci bliższej współpracy z krajami i rządami, które dzielą wartości cywilizacji zachodniej...

Rozumianej tak, jak Amerykanie ją rozumieją. W tym kontekście zarzuty formułowane przez Amerykanów wobec Europy są jasne – że zagubiła tożsamość i to przekłada się na jej słabość intelektualną, gospodarczą i militarną. Ale równocześnie jest tam zawarta – nazwijmy to romantycznie – pewna tęsknota za Starym Kontynentem, który współpracował ze Stanami. Jeśli to miałby być dobry wstrząs dla Europy i okazja do pewnego resetu, to może nie tak źle.

Nie zachłysłeniście się trochę w PiS tą opowieścią o Trumpie jako drugim Reaganie? W niektórych kwestiach PiS ma podobną diagnozę, co republikanie, w innych – nie. Ale wróćmy do początku naszej rozmowy: czy w polskim interesie nie jest ukroczenie polityki zachodnich krajów UE w kwestii jazdy na gapę, jeśli chodzi o bezpieczeństwo? Przymuszenie ich do większych wydatków na zbrojenia to nasz żywotny interes. I oczywiście trzeba dostrzegać też potencjalne i realne problemy. Trochę jak z UE: potrzebujemy polityki, która nie zerwie sojuszy tylko dlatego, że mamy w tej czy innej sprawie krytyczne głosy. Ale nie możemy stać się zakładnikami myślenia, że nie można mówić nic krytycznego, bo będą krzyczeć, że to zerwanie sojuszu.

Ale w opowieści polityków PiS Stany są zawsze dobre, wybacza się im albo przynajmniej rozumie takie czy inne zwroty, zmiany zdań i strategii. A o Unii Europejskiej non stop mówicie źle. Trudno ukrywać naszą głęboką niezgodę w sprawach polityki klima-

tyczno-gospodarczej czy rozpychania się kompetencyjnego przez instytucje europejskie – daleko poza traktaty. Suwerenność czy prymat konstytucji nie podlegają negocjacjom.

Tylko w tym przesłaniu UE i jej instytucje są w zasadzie odpowiednikiem Czarnego Piotrusia, którym można straszyć. Bez przesady. Wiemy w PiS doskonale, że trzeba w sposób poważny prowadzić politykę, która umożliwi lawirowanie... Nie, nawigowanie to lepsze słowo. A więc nawigowanie w taki sposób, by nieustannie lewarować pozycję Polski i szukać do tego okazji. Dobrym przykładem jest uczestnictwo w spotkaniu grupy G20 – zostawiam na marginesie, że rząd chwali się, że to ich zasługa...

W zasadzie to zasługa każdego kolejnego rządu po 1990 r. W tym także rządów PiS i prezydentów Andrzeja Dudy, a dziś Karola Nawrockiego, o czym obecnie rządzący zapominają. Ale umówiliśmy się, że dziś bez odniesień do polsko-polskiej wojny, więc tylko sygnalizuję ten temat.

Wróć do tej negatywnej opowieści o UE. Nie boicie się w PiS, że otwieracie puszkę Pandory? Że owszem, może to i ma być krytyka Komisji Europejskiej i TSUE wychodzących poza traktaty, ale w praktyce otwiera to drogę do prostych odpowiedzi à la Grzegorz Braun: poexit, WypierPol, nabrałiśmy już tej brukselki, ile się dało, teraz jedziemy tylko na swoich warunkach, względnie: na wsparciu USA. Mam głębokie przekonanie, że środowisko Brauna i on sam nie dostaliby takiej oferty ze Stanów Zjednoczonych i to z oczywistych względów. Do tego nie mają żadnego doświadczenia w sprawowaniu władzy i oferują zbyt proste, choć czasem chwytliwe rozwiązania, ignorując fakt, że świat i rzeczywistość są bardziej złożone. To faktycznie spore wyzwanie – i tak jak mówił już wiele razy prezes Jarosław Kaczyński, jednym z naszych zadań, oprócz obniżania słabości rządu, jest zabieganie o wyborców, którzy rozważają głos na takie partie jak Brauna. Ale nie oznacza to rywalizacji na jeszcze bardziej proste i prostackie odpowiedzi – musimy to wygrać powagą i racjonalnymi, przemyślanyymi rozwiązaniami i pomysłami.

Tu i teraz jest jeden pomysł do przemyślenia: gwarancje dla Ukrainy. Czytam o umowie na utworzenie „wielonarodowych sił” pod dowództwem Francji i Wielkiej Brytanii, co ma nastąpić po wejściu w życie zawieszona broni. To dobry kierunek myślenia? Jaka powinna być w tym rola Polski?

Wydaje się, że w Paryżu doszło do pewnego kroku naprzód, oczekiwanego przez wszystkich. Stanowisko Polski winno być jasne: żadnych naszych wojsk w Ukrainie, możemy

za to działać w ramach wsparcia i zaplecza logistycznego dla sił stabilizacyjnych. Najlepiej by było, gdyby było to równocześnie wykorzystywane do wzmacniania tutaj interoperacyjności w ramach NATO.

Rozmawiamy dobre kilkadziesiąt minut i myślę, że Thomas Rose – ambasador USA w Polsce – mógł mieć rację, mówiąc, że nie widzi żadnych fundamentalnych różnic między dwoma głównymi obozami w Polsce, które uzasadniałyby tak duży podział. Przecież pod tym, co pan powiedział, spokojnie podpisałby się Paweł Kowal czy Radosław Sikorski.

Do szefa MSZ miałbym całą litanię zarzutów, ale zostawmy to na inną okazję. Szczerze? Chciałbym podzielać optymizm ambasadora Rose'a, ale fakt, że premier Tusk i minister Sikorski jednym ze swoich popisowych numerów czy znaków rozpoznawczych uczynili głęboki antytrumpizm, de facto będący antyamerykanizmem w dzisiejszych warunkach, nie pomaga w prowadzeniu tej polityki.

Oni czasem przesadzają z USA, Wy z UE. Mogłyby to być dwa fortepiany w jednym koncercie. Znam te koncepcje, ale nie sądzę, by były specjalnie realne. Rząd zbyt często stara się nakreślić wybór, przed którym stoimy, mówiąc: albo UE, albo USA. I do tego czynią relacje ze Stanami zakładnikiem wojenki z prezydentem, próbując albo podważać jego rolę, albo przerzucać piłkę na jego połowę tam, gdzie sami zawiedli.

Ambicje, personalia, zaufanie. Ważne rzeczy, ale przecież w komisji spraw zagranicznych mimo tych samych problemów, jakoś się dogadywaliście i za czasów PiS, i dziś. Rzeczywiście w ramach delegacji komisji spraw zagranicznych staraliśmy się nie przenosić wewnętrznych kwestii na rozmowy, które prowadziłyśmy za granicą, jak choćby w USA. Wie pan, nawet z pewną premedytacją uzgadnialiśmy w samolocie tematy, które niezależnie od różnic między partiami są kluczowe, a gdzie można znaleźć wspólny język. Przecież teoretycznie, gdy mówimy o bezpieczeństwie, obecności amerykańskich wojsk w Polsce czy kwestiach energetycznych, elektrycy atomowej, fundamentalnych różnic być nie powinno.

Wiem, że algorytmy karmi konflikt, a nie zgoda, ale może to są te najniższe wspólne mianowniki, których warto się trzymać. Byłoby dobrze. Ale do tanga trzeba dwojga. ©©

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER



Radosław
Fogiel

poseł na Sejm
IX i X kadencji,
członek Komitetu
Wykonawczego PiS

Nasz nieład przestrzenny

W mieście jesteśmy społecznością i musimy poświęcić część autonomii jednostki na rzecz dobra wspólnego. Dziś w pogoni za zyskiem bezpowrotnie tracimy wartości, które dotychczas chroniliśmy

Z Tomaszem

Majdą

rozmawia Adam Pantak

Dlaczego w polskich miastach jest tak brzydko?

Teoretycznie planowanie przestrzenne powinno realizować cel ustawy, czyli wprowadzać ład przestrzenny. Co zatem nie gra? Choćby to, że tak jak w przypadku podobnie zdefiniowanego, chronionego przez konstytucję „zrównoważonego rozwoju”, realizacja tych celów wymaga spójności różnych polityk konkurujących ze sobą w tej samej przestrzeni. To w Polsce mocno kuleje. Naszą piętą achillesową jest wymyślanie kolejnych polityk

– ekonomicznych, społecznych, przyrodniczych, mobilności itd. – bez ich integracji. Nie pomógł przyjęty w 2018 r. przez rząd system zarządzania rozwojem Polski ani Krajowy Plan Odbudowy, z których wynika, że głównym celem polityki przestrzennej nie jest już optymalizacja polityk sektorowych we wspólnej przestrzeni, lecz sprzyjanie jednej z nich: polityce rozwoju ekonomicznego.

Chodzi o to, by przestrzeń i wypełniające ją budynki przede wszystkim przynosiły zysk, a nie zapewniały mieszkańcom komfortowe życie?

Tak. Cele polityki przestrzennej są obecnie zdefiniowane w ustawie o zasadach prowadzenia polityki rozwoju, a nie w ustawie o planowaniu. To utrudnia uwzględnianie kontekstu kulturowego i ekologicznego. Do niedawna rolą planowania było znalezienie rozwiązań, które godziły sprzeczne interesy podmiotów zabiegających o różne walory tej samej przestrzeni. Dziś w pogoni za zyskiem bezpowrotnie tracimy inne wartości, które dotychczas chroniliśmy. Jaskrawym przykładem tego zjawiska jest całkowite zignorowanie przestrzeni publicznych w planach ogólnych. Mimo że to właśnie te przestrzenie są esencją naszego dziedzictwa kulturowego i europejskich wartości estetycznych.

Czy Warszawa i inne miasta mają stałą politykę współpracy z deweloperami, czy z każdym inwestorem dogadują się ad hoc na zasadzie: budujesz osiedle, ale w zamian pokrywasz część kosztów powstania nowej szkoły?

Ten proces cały czas ewoluuje. Przed uchwaleniem specustawy deweloperskiej inwestor sprzedawał mieszkania, a my finansowaliśmy powstanie szkół, przedszkoli, dróg itd. Dzięki tym przepisom deweloper dokłada teraz do części (choć tylko ułamek) kosztów związanych z inwestycją mieszkaniową. Teoretycznie powinniśmy się z tego cieszyć, ale w praktyce budowle powstające na podstawie lex deweloper są zwolnione z wymogu zgodności z planem miejscowym, który optymalizował zagospodarowanie na większym obszarze. Wprawdzie deweloper dofinansuje budowę szkoły albo zrobi drogę dojazdową do swojego osiedla, ale to działania wycinkowe, które pozwalają np. wliczać do kolejnych inwestycji mieszkaniowych ten sam fragment istniejącego parku jako teren rekreacyjny.

Jak slogany o 15-minutowym mieście i uwzględnianiu środowiska w projektowaniu mają się do praktyki?

Tego typu hasła są obecnie zapisywane w strategiach rozwoju miast. Problem polega na tym, że z reguły nie odnosi się ich do konkretnej przestrzeni. Efekt jest taki, że funkcjonują w pewnym wirtualnym świecie: zapisujemy szczytne hasła, przeznaczamy na ich realizację pieniądze, a reszta niech się sama dzieje. Tak niestety nie będzie. Powinno się odnieść te idee do konkretnych przestrzeni już w ramach modelu struktury funkcjonalno-przestrzennej strategii. W przeciwnym razie trudno



FOT. ARKADIUSZ ZIOŁEK/EAST NEWS

WYWIAD

będzie to obronić w planach miejscowych. W efekcie wygra silniejszy, czyli interes ekonomiczny, który łatwo zmierzyć. Interesu publicznego, którego częścią jest również ład przestrzenny, nie da się tak łatwo obliczyć ani obronić.

Weźmy konkretny przypadek – sprawę tzw. Nycz Tower, czyli 170-metrowej wieży, która nijak pasuje do sąsiadującej z nią przedwojennej zabudowy. Na jej wzniesienie osobiście zezwoliła była prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Dlaczego prezydent może się sprzeciwić urbanistom? Urbanista nie odpowiada politycznie. Polityk reprezentuje wyborców i przed nimi się rozlicza. Z jednej strony dobrze by było, gdyby ekspert miał silny głos, który należy brać pod uwagę. Z drugiej strony żyjemy przecież w systemie demokratycznym, a nie technokratycznym. Nie zapominajmy, że hasła takie jak np. miasto 15-minutowe są również wyborem politycznym, opartym na systemie wartości, który nie wszyscy podzielamy. Kluczowe jest znalezienie sposobu, by doraźne decyzje zarządcze nie były sprzeczne ze zdaniem większości, a to ostatnie było kształtowane z uwzględnieniem wiedzy fachowej.

Kompetencje w tym zakresie należałyby oddać naczelnemu architektowi miasta? To zależy, jak rozumiemy tę instytucję. Jeżeli naczelnym architektem czy urbanistą miasta jest podwładny prezydenta, niewiele to zmienia. W Brukseli bouwmeestera powołuje co prawda prezydent miasta, ale jest on nieodwołalny. To funkcja kadencyjna, wiążąca się z niezależnością od nacisków politycznych.

Jaki wpływ na plany miejscowe powinni mieć mieszkańcy? W konsultacjach publicznych bierze udział garstka. Czy ich głos powinien być decydujący? To zależy od znaczenia inwestycji. Jeżeli dotyczy ona kwartału, to jego mieszkańcy powinni mieć coś do powiedzenia. Jeżeli inwestycja rozwiązuje problem całej dzielnicy, to konsultacje powinny mieć szerszy zakres. Zdefiniowanie interesu publicznego jest szalenie trudne. To kolejny powód nieładu przestrzennego.

Czy w tak dużym mieście jak Warszawa da się wypracować spójną i długoterminową strategię rozwoju miasta? Takim dokumentem było przyjęte w 2006 r. studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego Warszawy. Później kilkakrotnie je aktualizowano, ale polityki przestrzennej w nim nie zmieniano. Założenia były czytelne, a wizja spójna. Od 2023 r. nie uchwała się już studium, lecz plan ogólny gminy, który albo nic nie ustali, albo będzie wymagać nieustannych zmian, gdyż dotyka fizycznie każdego właściciela gruntów w mieście. Z kolei politykę przestrzenną miasta określa strategia rozwoju.

Czy przeciwdziałać rozlewaniu się miasta i dążyć do zagęszczania zabudowy śródmieścia?

Moim zdaniem tak. Warszawa wycofała się z racjonalnej polityki ograniczenia rozpraszania zabudowy ze względu na kilkadziesiąt tysięcy protestów indywidualnych właścicieli. To decyzja polityczna. Z punktu widzenia wieloletniego budżetu miejskiego nadpodaż terenów budowlanych w zewnętrznych dzielnicach jest błędem. Skutkuje ona koniecznością doprowadzenia na te obszary m.in. infrastruktury transportowej, której koszty budowy i utrzymania nigdy nie zostaną zrekompensowane – choćby dlatego, że te tereny w większości nigdy nie zostaną zamieszkałe. Kadencja prezydenta jest znacznie krótsza. Z politycznego punktu widzenia ważniejszy jest interes kilkudziesięciu tysięcy aktywnie protestujących wyborców niż kilkuset tysięcy niezainteresowanych lub nieświadomych mieszkańców. Uważam, że powinniśmy się skupić na urzeczywistnianiu struktury policentrycznej miasta, opartej na zwartych wspólnotach lokalnych. Należy odróżnić to od koncepcji rozpraszania zabudowy z wyznaczaniem przypadkowych centrów aktywności. Nie można zapominać, że taki twór powinien mieć tożsamość jako całość – w przypadku stolicy Polski jest to szczególnie ważne. Oczywiście dyskusje o tym, jak bardzo zagęszczać zabudowę, jeszcze się nie zakończyły. Czynniki kulturowe czy klimatyczne wciąż się zmieniają. To, co akceptujemy dziś, nie odpowiada temu, co będziemy akceptować za kilkadziesiąt lat. Eksperti są zgodni, że struktura policentryczna rozwiązuje wiele problemów. Jednak jej sposób rozumienia i wdrożenie to kwestia decyzji politycznych.

Policentryczność zakłada, że usługi publiczne, instytucje kultury, np. teatry, i sklepy nie powinny być skupione w centrum, lecz równomiernie rozproszone po mieście? W przypadku usług komercyjnych rola urbanistów ogranicza się do wskazania miejsc, w których mogą być lokowane, oraz ich parametrów. W przypadku usług publicznych, które są rdzeniem przestrzeni miejskiej, miasto może mieć dużo większy wpływ na ich jakość. Trzeba też zauważyć, że im wyższy poziom usługi, tym mniejszy odsetek mieszkańców z niej korzysta. Z tego powodu wspomniane przez pana teatry nie mogą być rozrzucone po całym mieście, jak choćby lokalne świetlice. Konieczne jest zapewnienie wygodnego transportu, który dowiezie mieszkańców do takiej instytucji. Poza tym im wyższa ranga usługi, tym bardziej zasługuje ona na lepszą oprawę przestrzeni publicznej. Ten tandem budynku i przestrzeni ma większy potencjał budowania tożsamości miasta, jego marki.

Brak ograniczeń doprowadził do tego, że lokowane w centrach miast galerie handlowe uśmierciły dawne ulice handlowe. To prawda. Wielkie galerie handlowe to zapożyczenie z amerykańskiej kultury. Od pandemii obiekty te przeżywają kryzys i wiele z nich zamienia się w mieszkaniówkę. Wydaje się, że przekształcone obiekty są w odwrocie i następuje powrót do skali miejskiej. Większość z nas odczuwa pewną

sztywność galerii handlowych, aczkolwiek nie zaprzeczam, że wciąż powstają nowe obiekty tego typu – na szczęście raczej już nie w centrach miast.

Dlaczego w Polsce plac – wbrew nazwie – bywa raczej rondem, parkingiem, skrzyżowaniem albo węzłem komunikacyjnym? Skąd to się wzięło? Weźmy przykład Placu Zawiszy.

Dominacja infrastruktury technicznej to dziedzictwo XX w. Dawniej ulice były głównym szkieletem przestrzeni publicznych miast, a place były ich kwintesencją. Rozwój transportu samochodowego wypchnął z tych miejsc ludzi. Warszawa rozpisła konkursy na modernizację wielu miejskich placów. To jasny sygnał, że idziemy w kierunku przywracania ich wartości kulturowych. To, co w Warszawie dzieje się od lat, czyli zazielenianie ulic i ograniczanie ruchu samochodowego, wyraźnie zmienia oblicze stolicy. Na lepsze.

Przykładem tych zmian jest otwarte jesienią 2025 r. naziemne przejście dla pieszych przez ul. Marszałkowską vis-à-vis Pałacu Kultury i Nauki. Lawina negatywnych komentarzy, którą wywołała ta drobna modernizacja, mówi sama za siebie. Skąd taka niechęć? Dlaczego traktujemy miasto jak węzeł komunikacyjny?

Po pierwsze, duża część samochodów, które poruszają się po stolicy, nie należy do Warszawiaków. Gros ludzi pracujących w Warszawie mieszka pod miastem i musi jakoś się do niego dostać. Rodzi to oczywisty konflikt między mieszkańcami stolicy, czyli użytkownikami przestrzeni publicznych, a pracownikami, którzy dojeżdżają do pracy z miejscowości podwarszawskich i wracają do domu. Myśląc o współczesnym mieście, trzeba projektować rozwiązania sięgające daleko poza jego granice. W przypadku Warszawy stworzenie komfortowego transportu publicznego w skali całej metropolii byłoby nie tylko szalenie drogie, lecz także mogłoby doprowadzić do przyspieszenia wyludniania miasta – niestety, problemy te nie mają charakteru czysto transportowego. Po drugie, dla wielu użytkowników miasta wolność osobista jest nadrzędna wobec interesu publicznego. Z filozofii Friedricha Hayeka można by wyciągnąć wniosek, że suma interesów prywatnych przełoży się w końcu na interes publiczny. Ale w skali miasta to tak nie działa. W mieście jesteśmy społecznością i musimy poświęcić część autonomii jednostki na rzecz dobra wspólnego. Polska konstytucja nie stawia interesu publicznego ponad prywatnym – zastrzega jedynie, że tylko ważny interes publiczny może ograniczać wolność gospodarczą. Jak już wspominałem, w przeciwieństwie do interesu prywatnego interes publiczny trudno zdefiniować. Jeśli chcemy myśleć o ładzie przestrzennym, to nawet realizacja praw własnościowych musi służyć interesowi grupy, społeczności.

Sceptycyzm wobec dobra wspólnego to dziedzictwo komunizmu.

Oczywiście, choć źródeł takiego podejścia upatrywałbym jeszcze wcześniej. Już w czasach rozbiorowych wszystko to, co można było sklasyfikować jako interes publiczny, reprezentowało zaborcę. Nic dziwnego, że byliśmy temu przeciwni. W czasie komunizmu było to samo. Państwowe, czyli niczyje. Dla przeciętnego Polaka liczyło się bronienie interesu prywatnego i to podejście znalazło wyraz w naszej konstytucji.

Mieszkaniec niemieckiego, szwajcarskiego czy francuskiego miasta mimowolnie przyswaja panujący w nich ład przestrzenny. Jak my, Polacy, mamy się uczyć poczucia estetyki, jeśli żyjemy w miastach chaosu?

Z tym zagadnieniem borykamy się nawet na studiach architektonicznych. Na zajęciach z projektowania studenci czerpią z własnych doświadczeń i powielają to, co widzą. Przy dworcu kolejowym rysują wielki parking. Jako front przestrzeni publicznej rysują parking dla klientów galerii handlowej. Przejście od bezrefleksyjnego czerpania z tego, co się widzi, do krytycznego namysłu, to długotrwały, intensywny proces. To podstawa dla absolwentów studiów architektonicznych. Jako społeczeństwo nie mamy tego kilkuletniego treningu. Jako punkt odniesienia dostajemy chaos.

Czy kolejne pokolenie architektów daje nadzieję na bardziej wielowymiarowe podejście do przestrzeni miejskiej? System planowania przestrzennego został całkowicie zniszczony, a jego odbudowa zajmie wiele lat. Pewnym optymizmem napawa mnie to, że jesteśmy częścią Unii Europejskiej i dzięki temu do naszego myślenia o przestrzeni przenika dziedzictwo europejskie. Punktem odniesienia nie jest już tylko najbliższe otoczenie, choć wciąż największy wpływ ma na nas to, co najczęściej widzimy i w czym się poruszamy. Brak granic i związana z tym możliwość podróżowania po Europie – również po przestrzeniach niezniszczonych w czasie wojny – powodują, że nasze horyzonty się poszerzają. Czy to się przyczyni do lepszej jakości? Myślę, że musimy temu sprzyjać, czyli przekładać naszą wrażliwość estetyczną na przemyślenia bardziej abstrakcyjne, systemowe. Musimy też uświadomić politykom, że ich decyzje mocno wpływają na to, co obserwujemy za oknem. Trzeba zastąpić obojętność krytycznym namysłem nad tym, co nas otacza, i rozliczać z tego decydentów. ©



FOT. MAT. PRASOWE

Tomasz

Majda

dr inż. arch., prezes Towarzystwa Urbanistów Polskich, wiceprezes Europejskiej Rady Urbanistów, członek Głównej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej, wykładowca Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej

Idee



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Emerytalny bonus za dziecko

Bartosz Marczuk

Urodziła i wychowała ośmioro dzieci, ale pracując w domu, nie zyskała prawa do emerytury i na stare lata została bez świadczenia. Tak się zdarzało do 2019 r., gdy do polskiego prawa wdrożono rodzinne świadczenie uzupełniające zwane emeryturą matczyną Mama 4+. Gwarantuje ona rodzicom (głównie kobietom, które urodziły co najmniej czworo dzieci), że otrzymają przynajmniej minimalną emeryturę (prawie 2 tys. zł miesięcznie). Z tego świadczenia korzysta 60 tys. kobiet. To elementarne oddanie im sprawiedliwości. Dlaczego? Bo system emerytalny stoi na dzieciach, które one urodziły.

Czy to wystarczające? Czy do systemu nie powinny zostać wprowadzone odważniejsze bonusy za rodzenie i wychowywanie dzieci? Takie świadczenia funkcjonują też w różnych krajach, które doszły do słusznego wniosku, że bez rodzających się dzieci obietnice wypłaty emerytur w przyszłości mogą pozostać jedynie... obietnicami.

Słowackie dzieci płacą rodzicom

Aby radzić sobie z malejącą dzietnością, wiele państw stosuje polityki na rzecz rodzin. Przybierają one różne formy, choć najczęściej mieszczą się w obrębie czterech krawędzi kwadratu wspierania rodzin. Są to: pomoc finansowa (m.in. polskie 800+), rynek pracy (m.in. elastyczność zatrudnienia), usługi dla rodzin (m.in. żłobki, przedszkola czy szkoła) i mieszkania. Sporo dzieje się w tym zakresie także w Polsce, zwłaszcza po 2015 r.

Coraz więcej krajów wdraża w tym obszarze także rozwiązania prorodzinne w systemach emerytalnych. Dzieje się tak m.in. u naszych najbliższych sąsiadów, którzy w ostatnich latach wprowadzili u siebie „premie” dla rodziców.

W Czechach od stycznia 2023 r. emerytury są podwyższane o 500 koron (ok. 87 zł) za każde wychowane przez emeryta dziecko (świadczenie nazywa się „vychove”). Zmiana ta została uchwalona niedawno – we wrześniu 2022 r. – ale dodatek jest wypłacany zarówno osobom, którym przyznano emerytury od 2023 r., jak i wcześniej. Nie ma przy tym znaczenia, czy dziecko wychowywało się w Czechach czy za granicą. Świadczenie przysługuje za dziecko, nad którym rodzic lub inna osoba sprawowali osobistą opiekę przez co najmniej 10 lat, do pełnoletności. W przypadku gdy objęli opiekę po ukończeniu przez dziecko ośmiu lat, warunek jest spełniony, jeżeli sprawowali opiekę przez co najmniej pięć lat, do pełnoletności. Świadczenie jest także wypłacane w razie śmierci dziecka po ukończeniu pięciu lat, jeżeli rodzice się nim zajmowali. Termin „dziecko” odnosi się do potomka biologicznego, adoptowanego lub objętego pieczą zastępczą.

Emerytury przyznane w Czechach przed 2023 r. zostały podniesione kobietom automatycznie na podstawie liczby ich dzieci w momencie, gdy przyznawano im emerytury. Z kolei mężczyznom sprawującym w głównej mierze opiekę dodatek był przyznawany na wniosek. Czesi szacują, że dodatek za dwoje dzieci zwiększa średnią emeryturę (w 2023 r. ok. 20 tys. koron) o ok. 5 proc.

Bardzo ciekawe rozwiązanie wdrożyli Słowacy. Rodičovský dôchodok lub rodičovský bonus nie jest stałym dodatkiem zależnym od liczby dzieci, lecz mechanizmem opartym na... ich dochodach. Wprowadzono go w 2022 r. w ramach reformy emerytalnej, by docenić rodziców za wychowanie przyszłych płatników składek. Od 2026 r. uległ lekkiej zmianie: stary model (procent od dochodów dzieci) został zastąpiony przekazaniem części zapłaconego przez nich podatku.

Czasownik „emerere” oznacza „zasłużyć sobie na coś”. Czy jest ktoś bardziej zasłużony dla systemu emerytalnego niż rodzice, którzy wychowali, zwłaszcza liczne, potomstwo?

W starym systemie dodatek wynosił 1,5 proc. z rocznego dochodu dziecka z dwóch lat wstecz (np. w 2024 r. na podstawie dochodów z 2022 r.) na jednego rodzica. Kwota dochodu dziecka była jednak ograniczona do 120 proc. średniej miesięcznej pensji w gospodarce. Maksymalnie jeden rodzic mógł uzyskać 21,80 euro miesięcznie za każde dorosłe dziecko (ubezpieczone w Słowacji). W 2023 r. dodatek był wypłacany raz w roku (w czerwcu), potem już co miesiąc. Rocznie wynosił średnio 338 euro na rodzica i trafiał do ok. 900 tys. emerytów. Wykluczeni byli rodzice dzieci bez ubezpieczenia, pracujących za granicą lub niepracujących.

Nowy system (od 2026 r.) zakłada, że dzieci (pracujące, mające ponad 18 lat) mogą przekazać do 2 proc. należnego podatku dochodowego na każde z rodziców. I uwaga: to dzieci decydują, czy w ogóle to robią, dla obojga rodziców czy dla jednego i w jakiej wysokości (może być mniej niż 2 proc. na rodzica). Szacunki mówią, że kwota dodatku wyniesie ok. 60 euro rocznie na rodzica, ale dla dzieci z wysokimi dochodami może to być o wiele więcej. Innymi słowy: jeśli dobrze wychowałeś dziecko (pracuje i osiąga dochody), a do tego nie wyjechało z kraju, to możesz liczyć na udział w jego podatku. Warto się starać, by być dobrym rodzicem, zabiegać o wykształcenie dziecka i o to, by nie wyemigrowało z kraju.

W Słowenii nagradzają podwójnie

W Hiszpanii już od ponad 10 lat istnieją dodatki do emerytury (pensión de jubilación). W 2025 r. wzrósł on do 35,90 euro miesięcznie za dziecko, z limitem na czworo dzieci (do 143,60 euro miesięcznie). Dodatek przysługuje za dzieci urodzone lub adoptowane przed emeryturą. Nie ma znaczenia miejsce ich urodzenia.

Z kolei we Francji nie ma wprowadzić indywidualnych dodatków do emerytury, ale istnieje premia emerytalna za wychowywanie dzieci – nawet do 10 proc. świadczenia dla rodziców, którzy wychowali troje dzieci.

Natomiast w Słowenii istnieją aż dwa rozwiązania dotyczące rodziców. Pierwszym jest obniżony wiek emerytalny dla matek – za jedno dziecko 6–8 miesięcy, za dwoje dzieci 16–20 miesięcy, troje dzieci – 26–36 miesięcy, czworo – 36 miesięcy i co najmniej pięcioro – do 48 miesięcy. Ponadto istnieje tam specjalny bonus w wysokości 1,36 proc. do podstawy emerytury za każde z pierwszych trojga dzieci (biologicznych lub adoptowanych). Nie jest to oddzielna wypłata, bonus zwiększa emeryturę. Maksymalnie może on wynieść 4,08 proc. (3 x 1,36 proc.).

Czas na Polskę

W Polsce nie mamy bezpośrednich bonusów za dzieci w systemie emerytalnym. Istnieje wspomniana już emerytura matczyną, ale jest to bardziej świadczenie godnościowe i sprawiedliwościowe niż systemowe rozwiązanie łączące decyzje o potomstwie z systemem emerytalnym. Mamy też opłacane przez budżet składowe emerytalno-rentowe za okresy urlopów macierzyńskich i wychowawczych. Nie są to jednak powszechne dodatki dla rodziców za posiadanie i wychowanie potomstwa.

Słowo „emerere” pochodzi z łaciny. Czasownik „emerere” oznacza „zasłużyć sobie na coś”, „w pełni zarobić”, „wywiązać się z obowiązków”. Dawniej „emeritus” oznaczało osobę, która po długiej służbie (np. wojskowej czy urzędniczej) została zwolniona z obowiązków i otrzymywała wynagrodzenie za swoje zasługi. Stąd emeryt. Czy jest ktoś bardziej zasłużony dla systemu emerytalnego niż rodzice, którzy wychowali, zwłaszcza liczne, potomstwo? Warto pomyśleć, jaki model bonusów wprowadzić do systemu emerytalnego także u nas. I nie chodzi tu wyłącznie o korzyść rodziców. Ważna jest także wypłacalność i stabilność samego systemu. Bez dzieci o nie więcej niż trudno.

©
Autor jest ekspertem Instytutu Sobieskiego, w latach 2015–2018 był wiceministrem rodziny, pracy i polityki społecznej, a następnie wiceprezesem Polskiego Funduszu Rozwoju



FOT. WOJTEK GORSKI

Złudzenie równego startu

Piotr **Wójcik**

W 2024 r., gdy Polska obchodziła 20-lecie członkostwa w Unii Europejskiej i ćwierćwiecze obecności w NATO, Ukraina od dwóch lat zmagająca się z pełnoskalową rosyjską agresją, jej członkostwo w Pakcie stawało się coraz mniej wyraźnym mirażem, a akcesja do UE odległą i nieokreśloną perspektywą. Tymczasem na początku lat 90. oba kraje zdawały się wchodzić w nową epokę z tego samego miejsca. Według danych Banku Światowego, w 1991 r. PKB na głowę liczone według parytetu siły nabywczej (PSN) w Ukrainie wynosiło ponad 7,1 tys. dol., a w Polsce tylko 5,9 tys. Ten jeden wskaźnik posłużył do stawiania tezy, że wychodząc z bloku wschodniego, Warszawa miała nawet gorszy start niż Kijów. Za sukcesem ekonomicznym Polski miało więc stać niemal wyłącznie ostatnich 30 lat. Gdyby tylko politycy znad Dniepru przyjęli tę samą linię co Polacy, to europejski sen mógłby stać się również udziałem Ukraińców. Nieprzypadkowo jednak tego nie zrobili. Podobny start Polski i Ukrainy jest jedynie złudzeniem – lub też artefaktem statystycznym. Pozycja startowa Warszawy od początku była o wiele lepsza.

Jako jedną z tajemnic sukcesu Polski wymienia się przyjęcie jednoznacznie prozachodniego kierunku reform i polityki zagranicznej. W przeciwieństwie do Ukrainy, która próbowała, jak mawiają geopolitycy, „grać na różnych fortepianach”. To ostatnie, chociaż bywa uznawane za dowód na kunszt dyplomacji, Ukrainę doprowadziło po latach do katastrofy. Radykalnie prozachodni kurs Warszawy doprowadził ją do NATO w dekadę, a licząc od pierwszych wolnych wyborów – zaledwie w osiem lat. Wejście do UE po kolejnych pięciu było już naturalne. Pytanie tylko, czy Ukraina miała potencjał do poprawy kraju w tym samym kierunku. Polacy jako społeczeństwo byli prozachodni na długo przed upadkiem PRL. Przyjęcie kursu na Zachód po 1989 r. było konsensusem większości klasy politycznej – nawet postkomuniści chcieli podążać w tym kierunku, szybko przemianowując się na euroentuzjastów. Polskie elity były znacznie mniej zindoktrynowane przez Sowietów, znacznie częściej czerpały z zachodnich, choć zwykle socjalistycznych wzorców (np. architektki i urbanisci z socmodernistów takich jak Le Corbusier; relatywnie bliskie kontakty na Zachodzie miały również elity kulturalne, czego efektownym przykładem był rozwój polskiej sceny jazzowej). Sowietom nie ufali nawet działacze PZPR, którzy godzili się na bycie wasalem ZSRR głównie ze strachu. Tymczasem ukraińskie elity polityczne były całkowicie zsowietyzowane, a samo powstanie Ukrainy było wynikiem dogadania się sowieckiej klasy rządzącej. Kijów podczas rozmów w białoruskiej części Puszczy Białowieskiej reprezentował wtedy wieloletni członek KPZR Leonid Krawczuk, który niedługo później został pierwszym prezydentem Ukrainy.

Polska ciążyła ku Zachodowi także pod względem kulturowym. Już sam fakt, że głowa dominującej nad Wisłą religii stacjonuje w Rzymie, a nie w Moskwie, był ogromnym impulsem dla prozachodnich przemian w Polsce. Polacy od wieków uważali się za część dziedzictwa zachodnioeuropejskiego, a nie ruskiego, nawet jeśli pod niektórymi względami przez lata bardziej przypominali to drugie. Relatywna bliskość kulturowa skutkowałą chociażby wielomilionową diasporą w krajach półkuli zachodniej. Na Wschód Polacy migrowali głównie za karę. U progu lat 90. XX w. diaspora Ukraińców w USA liczyła przeszło 1 mln osób. Polska – ponad 9 mln.

Popkultura PRL zasadniczo czerpała ze wzorców zachodnich, czego świetnym przykładem jest komiks. Kultowe tytuły znad Wisły były często klonami zachodnich odpowiedników – Kajko i Kokosz naśladowali francuskiego Asterixa i Obelixa, a Binio Bill belgijskiego Lucky Luke’a. Komiksiarze z Polski mieli bardzo bliskie relacje z kolegami z Europy Zachodniej, czego efektem była nie tylko błyskotliwa kariera rysownika Grzegorza Rosińskiego (seria Thorgal), ale przede wszystkim błyskawiczna ekspansja zachodnioeuropejskich komiksów po 1989 r., która wyprzedziła demokratyczne przemiany.

Rozważania o komiksach w analizie dotyczącej rozwoju gospodarczego mogą się wydawać niepoważne, ale ich rola na przełomie lat 80. i 90. – podobnie jak kasety VHS czy pierwszych gier na dyskietkach – jest niedoceniana. Dzięki nim polskie pokolenie milleniów nie tylko uprzyjemniało sobie naukę czytania, lecz także automatycznie było wchłaniane przez zachodnią kulturę. Ułatwiało to również fakt, że Polska posługiwała się alfabetem łacińskim, tymczasem Ukraina cyrylicą. Nieprzypadkowo mapa podziału alfabetycznego Europy niemal pokrywa się z podziałem geopolitycznym. W Unii Europejskiej znajduje się zaledwie jeden kraj, w którym cyrylica jest alfabetem urzędowym – Bułgaria. Dzięki temu zachodnie dzieła kultury rozchodziły się w społeczeństwie znacznie sprawniej, tym bardziej, że Polska szybko przestawiła się na naukę angielskiego. Uczniowie rozpoczynający edukację u progu lat 90. nie mieli już żadnej styczności z rosyjskim, dysponowali za to dwiema godzinami tygodniowo angielskiego – a wielu korzystało również z bardzo popularnych wtedy zajęć prywatnych. W rezultacie znajomość języka angielskiego jest w Polsce jedną z najwyższych wśród krajów nie-

posługujących się nim na co dzień. Według „English Proficiency Index 2025”, zajmująca 15. miejsce Polska znajduje się wśród krajów z bardzo wysokim (tj. najwyższym) poziomem biegłości. Zajmująca 45. miejsce Ukraina znalazła się wśród państw z przeciętnym poziomem znajomości języka Shakespeare’a.

Powszechna znajomość przynajmniej podstaw języka angielskiego umożliwiła błyskawiczną ekspansję bezpośrednich inwestycji zagranicznych (BIZ) rodem z Europy Zachodniej i – choć na mniejszą skalę – z USA. Według artykułu Thorvaldura Gylfasona, Eduarda Hochreitera i Tadeusza Kowalskiego „Ukraine’s future prosperity: What can be learned from Poland” opublikowanego na łamach CEPR w 2023 r. w połowie lat 90. państwa europejskiej piętnastki odpowiadały za niemal trzy czwarte inwestycji zagranicznych w Polsce. W Ukrainie – za jedynie 44 proc. BIZ. To umożliwiło szybkie przestawienie gospodarki na relacje handlowe z Zachodem. Według danych z publikacji „Poland and Ukraine: A tale of two economies” Simona Tilforda już w 1992 r. Rosja odpowiadała tylko za 7 proc. handlu Polski, tymczasem państwa unijne za 60 proc. W tym czasie handel Ukrainy oparty był na relacjach z Rosją (40 proc.). UE odpowiadała tylko za 14 proc.

Ekspansja zachodnich firm przełożyła się na upowszechnienie wysokich standardów także poza gospodarką. Inwestorzy zagraniczni znacznie łaskawszym okiem patrzyli na państwa, w których nie muszą się użerać z niewydolnymi instytucjami, politycznymi frakcjami czy lokalnymi bandytami. Dzięki temu korupcja w Polsce nie rozpleniała się tak bardzo jak w Ukrainie, a silna w latach 90. zorganizowana przestępczość została dosyć szybko rozbita.

Duże znaczenie miał również brak kolektywizacji. W PRL rolnicy zachowali możliwość pracy na własny rachunek. W Ukrainie przeprowadzono brutalną i skutkującą masowym głodem kolektywizację, w której wyniku powstały wielkie konglomeraty. W 2024 r. przeciętne gospodarstwo rolne w Polsce obejmowało niespełna 12 ha. W Ukrainie było to 649 ha. Obfitość wydajnej ziemi rolnej oraz jej kumulacja własnościowa sprawiły, że produkcja rolna szybko stała się wiodącym sektorem ukraińskiej gospodarki. W 2024 r. odpowiadała aż za 14 proc. ukraińskiego PKB, tymczasem w Polsce za niespełna 3 proc. W ten sposób Ukraina uzależniła się od przynoszącej niską marżę produkcji rolnej, zanedbując wiodące pod względem technologicznym sektory, takie jak wytwórstwo przemysłowe. Kolektywizacja ziemi rolnej w ukraińskiej SSR ułatwiła też przejście konglomeratów przez pojedyncze osoby, bliskie elitom władzy lub dysponujące znaczącym kapitałem. Tak powstał między innymi holding OKKO Witalija Antonowa.

Struktura podziału ziemi rolnej nad Dnieprem była jednym z czynników oligarchizacji kraju. Przyczyny braku oligarchów w Polsce to bardzo szeroki temat, zasługujący na odrębną analizę. Niewątpliwie jedną z nich była mniejsza inwigilacja przez agentów bezpieki niż w NRD, Czechosłowacji, ZSRR czy Rumunii. Znaczenie silniejsza była za to opozycja polityczna, która uczestniczyła w przemianach wspólnie z komunistami. W ten sposób władza musiała zostać mocno rozdzielona, a powstałe po przełomie bardzo liczne frakcje wzajemnie się szachowały. Uniemożliwiło to ciche przejęcie kontroli nad własnością państwową przez dobrze ustosunkowane osoby ze służb lub partii komunistycznej. W tym czasie w państwach byłego ZSRR przemiany były „moderowane” przez wąskie grono osób w zaciszu gabinetów, a władzę przejmowali nawet nie tyle politycy komunistyczni, lecz wręcz czynni lub byli agenci bezpieki.

Silne społeczeństwo obywatelskie i rola opinii publicznej w PRL znacznie ułatwiły wejście Polski w okres przemian. Politykom miał kto patrzeć na ręce, a pracą dziennikarzy miał kto się interesować. W przeciwieństwie do Ukraińców, Polacy mają też znacznie dłuższą tradycję państwową i przywiązanie do własnych instytucji. Przejęcie majątku państwowego w prywatne ręce wiązało się więc z silnym oporem. O ile Polacy dosyć gładko znosili prywatyzację przedsiębiorstw przez koncerny zachodnie, które były traktowane jako źródło modernizacji i postępu, o tyle sprzedaż wiodących państwowych firm jakiemuś biznesmenowi z otoczenia władzy skończyłaby się skandalem. Nawet prywatyzacja niektórych podmiotów przez koncerny zachodnie (Pekao, PZU) była niezwykle kontrowersyjna i po latach odkręcana. W ten sposób polskie państwo zachowało szeroką własność państwową, a rząd kontroluje większość sektora finansowego, co daje mu ogromne możliwości prowadzenia polityki ekonomicznej. Nad Wisłą to ogromne spółki Skarbu Państwa, takie jak PKO, PZU czy Pekao, posiadają pozycję analogiczną do wschodnich oligarchów, ale dzięki kontrolowaniu ich przez rząd władza nad nimi zmienia się równoległe do zmian zachodzących przy wyborczych urnach.

Brak oligarchów, którzy mogliby szeroko korumpować klasę polityczną i zdobywać nieformalną władzę i wpływy, bardzo ułatwił działalność sektorowi prywatnemu – zarówno krajowemu, jak i inwestorom zagranicznym. Dzięki temu po krótkim kryzysie na początku lat 90. Polska szybko weszła na tory nieustannego wzrostu, który z przerwą pandemiczną trwa do dzisiaj. Ukraina wpadła natomiast w trwającą prawie dekadę stagnację. Dopiero w 2006 r. PKB na głowę według parytetu siły nabywczej w Ukrainie przekroczył poziom z roku 1990. W momencie wejścia Polski do UE w 2004 r. PKB per capita PSN nad Wisłą wynosił 13,4 tys. dol. i już wtedy był dwukrotnie większy od ukraińskiego (6,7 tys. dol.). Od tamtej pory różnica jeszcze się zwiększyła. W 2021 r., w przeddzień pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, polski PKB na głowę wyniósł ponad 41 tys. dol. PSN, a ukraiński niespełna 18 tys. Ten błyskawiczny rozwój gospodarczy Polski byłby niemożliwy, gdybyśmy naprawdę startowali z takiej samej pozycji jak Ukraina. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wielka idea

Joanna Tyrowicz

Nobla z ekonomii w ubiegłym roku przyznano m.in. Philippe'owi Aghionowi za odkrycie, że innowacje są ważne dla wzrostu gospodarczego. Wydaje się, że można by powtórzyć za komiksowym Obeliksem: „Ale głupi ci Rzymianie...”.

No, niekoniecznie tacy głupi. Ale po kolei. Jest rok 1956, Robert Solow formułuje, ledwie na kilka miesięcy przed Trevorem Swanem, model wzrostu gospodarczego (w czasach przed internetem mogli nie wiedzieć o sobie i pracować niezależnie). Nie ma w nim firm, gospodarstw domowych ani decyzji. Są agregaty, takie jak oszczędności, zasób całej siły roboczej czy tempo przyrostu populacji. W modelu Solowa tempo wzrostu gospodarczego jest zgodne z tempem akumulacji kapitału w przeliczeniu na populację. Akumulacja to, w uproszczeniu rzecz jasna, kapitał z poprzedniego okresu plus nowe nakłady na inwestycje pomniejszone o zużycie tego kapitału. Jest także magiczny składnik formuły: tempo wzrostu ogólnej produktywności, zwane czasem postępem technicznym (TFP, Total Factor Productivity). Solow nie wskazuje, skąd się ono bierze, lecz zauważa relację między wzrostem gospodarki a wzrostem TFP. Robert Solow dostaje Nobla w 1987 r. za „wkład do teorii wzrostu gospodarczego”. A ten magiczny składnik zwykło się w literaturze opisywać literką A – to ważne dla dalszej części opowieści.

Oczywiście, nikt nie czekał 31 lat na decyzję komitetu noblowskiego, by zacząć badać model Solowa. Na tamtych etapach danych za bardzo nie było, przełożenie koncepcji takich jak PKB na statystykę publiczną powoli się dopiero wykuwało, a i to dalece nie we wszystkich krajach. Ten, kto chciał robić badania nad wzrostem gospodarczym, uprawiał historię gospodarczą lub formalną analizę matematycznych właściwości modelu Solowa. Dało to wiele bardzo poważnych wniosków. Na przykład, że łatwo dodać do tego modelu kapitał ludzki. Tyle że zachowuje się on z grubsza tak, jak kapitał fizyczny, więc rośnie w tym samym tempie, zaś rola TFP i jego wzrostu mierzonego przez A pozostawała nadal niezbadana.

Na gruncie modelu Solowa sformułowano także hipotezę konwergencji warunkowej: tempo wzrostu gospodarczego poszczególnych krajów na świecie zależy od tego, jak stosowana przez nie technologia jest daleko od światowej granicy możliwości produkcyjnych. Im te granice są dalej, tym szybciej państwa na dorobku będą doganiać kraje rozwinięte, czyli im bardziej będą się do nich zbliżać poziomem życia, tym bardziej tempo ich wzrostu gospodarczego będzie się obniżać. A także, że kraje o różnym tempie przyrostu populacji i kapitału ludzkiego – też o odmiennych wzorcach zużycia maszyn i kapitału ludzkiego – mogą nawet przy takich samych warunkach początkowych osiągnąć inny poziom rozwoju.

W modelu Solowa inwestycje są możliwe tylko wtedy, jeśli w gospodarce są oszczędności. To dlatego w połowie lat 60. David Cass i Tjalling Koopmans dodali do jego modelu optymalizację gospodarstw domowych. Wykorzystali w tym celu pracę geniusza z Cambridge

Franka Ramseya, który w 1930 r. dołączył do słynnego klubu „27 lat”, lecz nim zmarł na żółtaczkę, zaproponował do dziś wykorzystywany sposób myślenia o optymalizacji gospodarstw domowych. Wyobraźcie sobie, że musicie zdecydować, jaką część dzisiejszego dochodu chcecie spożytkować, a jaką zachować. Intuicja jest prosta (matematyka znacznie mniej): jeśli chcecie oszczędzać, to po to, by moje przyszłe zachcianki, wyrażone w przyjemności konsumpcji z dziś, były nie mniejsze niż przyjemności, z których rezygnuję obecnie. Za tą intuicją stoi piękny matematyczny wynik, że istnieje optymalny poziom oszczędzania, który maksymalizuje przyjemność z konsumpcji. Tę intuicję Cass i Koopmans wprowadzili do modelu Solowa, ale mimo wielu innych fantastycznych odkryć Nobla dostał tylko Koopmans, i to za coś innego.

Na gruncie tych odkryć wszyscy czuli, że teoria wzrostu gospodarczego to trochę inne zwierzę niż cykle koniunkturalne, inflacje, bezrobocie itp. Praca Solowa pokazała, że makroekonomia dzieli się na badania nad trendami długookresowymi i na badania wahań cyklicznych, które są inną parą kaloszy. Chodzi o to, że nie dowiemy się niczego o długookresowych tendencjach akumulacji kapitału, obserwując kwartalne wahania wydatków rządowych na zasiłki z tytułu utraty pracy.

Równoległy wniosek był też taki, że modele takiej klasy jak Solowa – czego by do nich nie dodać – redukują się do modeli, w których liczy się tylko tempo wzrostu TFP oraz zakumulowany kapitał. A więc można do nich dołożyć całą masę rozszerzeń i dodatkowych aspektów polityki gospodarczej, ale na końcu matematycznie i tak pozostawało tempo akumulacji kapitału (które umieliśmy opisać procesami gospodarczymi) oraz tempo postępu technicznego, które funkcjonowało deus ex machina.

B yło coraz więcej danych, więc coś już można było zacząć weryfikować empirycznie. I na tej podstawie w tłumie ludzi skupionych na krótkookresowych wahańach cyklicznych powstało przekonanie, że ekonomia na agregatach nie wyjaśnia za wiele, bo za dużo się na każdy duży agregat składa. Jeśli chcemy mieć rozsądne modele, musimy je zacząć budować od ludzi i firm do całej gospodarki, czyli z dołu do góry. Tak zrobili na przełomie lat 70. i 80. Edward Prescott i Finn Kydland (nie do teorii wzrostu, a do wahań koniunkturalnych właśnie), którzy Nobla odebrali w 2004 r. W ich modelach żyły nie duże literki, tylko firmy – które optymalizowały swoje zyski, oraz gospodarstwa domowe – które optymalizowały, w uproszczeniu, konsumpcję. Razem z rządem i budżetem dawało to całą gospodarkę.

A w Chicago w 1983 r. doktorat pisał już Paul Romer, który zrobił to samo, tylko dla wzrostu gospodarczego. W jego modelu kapitał ludzki na podstawie już istniejącego stanu wiedzy wymyśla nowe typy dóbr – dobra pośrednie (np. śruby, kleje albo prąd). Tych dóbr samych w sobie gospodarstwa domowe nie chcą, lecz bez nich nie da się stworzyć dóbr końcowych, czyli tego, czego wszyscy pożądamy. Im więcej różnych typów dóbr pośrednich, tym większa war-

tość możliwych dóbr końcowych. I tak tempo wzrostu TFP z modelu Solowa brało się już nie deus ex machina, tylko z celowych decyzji firm, które próbowały ustrzelić optymalną liczbę dóbr pośrednich. Dlaczego optymalną? Bo w dobra pośrednie trzeba zainwestować, żeby wymyślić ich nowy typ, a to kosztuje. Jeśli za dużo firm zacznie nagle inwestować w innowacje, zyski spadną i nikomu nakłady na badania się nie zwrócą. Romer odebrał Nobla w 2018 r.

Gdy Romer kończył doktorat, w Bostonie na Harvardzie zaczynał Philippe Aghion, a kilka budynków obok, na kampusie MIT, w 1988 r. roczny urlop od nauczania w Ontario spędzał Peter Howitt. Uważali oni, że model Romera pomija jeden istotny fakt: że niektóre dobra są po prostu lepsze niż wcześniej istniejące. Ludzkość przestaje produkować więc te stare, a właściciele ich patentów mogą tymi urzędowymi papierami już tylko wytapetować swoje kanciapki. Ta myśl nie dawała im spokoju i zaczęli pracować nad modelem, w którym nadal są dobra pośrednie, lecz mechanizm inwestowania w innowacje jest zupełnie inny. Wynalazca przeznacza nakłady na badania, bo jak mu się innowacja uda, to do czasu kolejnego przełomu będzie miał quasi-monopol, dzięki któremu spłaci poniesione nakłady. To za ten właśnie model Aghionowi i Howittowi komitet noblowski przyznał nagrodę w 2025 r.

P raca Aghiona i Howitta bardzo się różni od modelu Romera. W obu innowacje biorą się z decyzji firm, lecz u Romera subsydia publiczne podnoszą tempo postępu technicznego, bo zwiększają pulę zysku dla wynalazców. W takim ujęciu jedynym ograniczeniem subsydiowania innowacji jest koszt, po którym rząd pożyczka pieniądze. Tylko jaki jest dziś popyt na procesory Intel 386? Albo wolnoschnący beton? Już żaden. W modelu Aghiona i Howitta jest optymalna liczba innowacji, a subsydia publiczne są narzędziem możliwym, lecz znacznie bardziej zniuansowanym niż szufla w modelu Romera. Z pracy Aghiona i Howitta wyrosły analizy polityki regulacyjnej, działań zapobiegających wejściu konkurencji do wyszczególnionego (a nie tylko sprzedaży konsumentowi końcowemu), agresywnego patentowania itp.

Nagrodzony w ubiegłym roku Noblem model daje też bardzo istotne wnioski dla oceny nierówności: konkurencja technologiczna generuje zwycięzców dysponujących nadwyżkami z innowacji. Ich działania trzeba monitorować oraz dostosowywać jednocześnie polityki regulacyjne i podatkowe, bo wygrani z poprzednich fal innowacji mogą próbować hamować rozwój technologiczny wszystkich pozostałych. Mówiąc w skrócie: dostajemy nie tylko model innowacji, lecz także masę wskazań dla polityki gospodarczej o tym, jak na nie oddziaływać oraz jakie są ich konsekwencje dla ludzi i społeczeństwa.

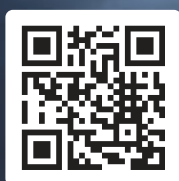
Ten model stał się na tyle bazowy, że trzeba było przepisać podręczniki do makroekonomii. Pierwsza wersja modelu zaczęła krążyć już pod koniec lat 80. XX w. i od tamtej pory przeniknął on nie tylko do nauczania ekonomii na studiach (choć niekoniecznie w Polsce), lecz także po prostu zrewolucjonizował modelowanie wzrostu gospodarczego i polityki publicznych. Powstała cała gałąź badań naukowych, a w nich wiele konkretnych wskazań dla polityki gospodarczej co do podatków, subsydiów, instrumentów rynku pracy, regulacji rynku, ochrony patentowej, skutecznych działań antymonopolistycznych, handlu międzynarodowego i masa innych, wszystkich nawet nie da się wymienić. ©

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Konkurencja technologiczna generuje zwycięzców dysponujących nadwyżkami z innowacji. Ich działania trzeba monitorować oraz dostosowywać polityki regulacyjne i podatkowe, bo wygrani z poprzednich fal innowacji mogą próbować hamować rozwój pozostałych

U nas odpowiedzi czekają na Ciebie!

W INFORLEX aktualności i wszystko o zmianach w prawie i podatkach



Testuj bezpłatnie
inforlex.pl

Historia

Stany jednoczenia Europy

Połączenie demokratycznych krajów Europy we wspólnotę gospodarczą było jednym z kluczowych projektów Waszyngtonu po II wojnie światowej. Dziś Amerykanie się z niego wycofują

Andrzej

Krajewski

Dzięki inwestycjom w odbudowę Europy Zachodniej USA zablokowały ekspansję Związku Radzieckiego na Starym Kontynencie, zyskały ważnych sojuszników i zdobyły cenny rynek zbytu. Pomoc zapewniła też Waszyngtonowi moralny kapitał, który stał się jednym z filarów panującego przez 80 lat „Pax Americana”. Jednak w nowej strategii bezpieczeństwa narodowego administracja Donalda Trumpa twierdzi, że wspieranie Europy nadwęża zasoby Stanów Zjednoczonych i najwyższa pora, aby Stary Kontynent przejął większą odpowiedzialność za swoją obronę.

W cieniu Moskwy

Przygotowany w lutym 1946 r. „długi telegram” George’a Kennana wnikliwie analizował poczynania Związku Radzieckiego, ale nie od razu przyniósł on autorowi status genialnego stratega. Kennan pełnił jedynie funkcję chargé d'affaires w ambasadzie USA w Moskwie. Administracja Harry’ego Trumana długo nie chciała uwierzyć w to, że wielki Franklin D. Roosevelt pomylił się w ocenie Józefa Stalina.

Po powrocie z Rosji w styczniu 1947 r. Kennan przygotował raport „Źródła sowieckiego zachowania” dla sekretarza marynarki wojennej Jamesa Forrestala, który jako pierwszy zaczął promować rekomendacje analityka.

„Stany Zjednoczone mają dość siły, by znacząco zwiększyć nacisk na politykę radziecką i wymuszać na Kremlu umiar i ostrożność w stopniu znacznie większym, niż to miało miejsce w ostatnich latach. W ten sposób można wzmocnić tendencje, które ostatecznie doprowadzą do upadku lub znacznego osłabienia potęgi radzieckiej” – zalecał Kennan. Wprawdzie zdawał sobie sprawę z ekspansywnych zakusów komunistów, ale nie popadał w pesymizm. „Kwestia stosunków radziecko-amerykańskich jest w swej istocie sprawdzianem ogólnej wartości Ameryki jako narodu w gronie innych narodów. Aby zapobiec katastrofie, USA muszą jedynie sprostać najchlubniejszemu z własnych tradycji, dowodząc, iż są godne dalszego trwania jako naród wielki” – podkreślał. Forrestal, który wkrótce został szefem Departamentu Obrony, zgodził się, by Kennan opublikował swój raport na łamach wpływowego pisma „Foreign Affairs” – początkowo anonimowo jako „X”. Kluczowe zdanie tekstu brzmiało: „Głównym elementem polityki Stanów Zjednoczonych wobec ZSRR musi być długoterminowe, cierpliwe, lecz stanowcze i czujne powstrzymywanie ekspansywnych tendencji Rosji”.

Szeroko komentowany esej nie tyle wskazywał właściwą strategię, ile ją anonsował. Pięć miesięcy wcześniej pierwszy krok wykonał już prezydent Truman: 12 marca 1947 r. zwrócił się do Kongresu o wyasygnowanie 400 mln dol. na pomoc ekonomiczną i militarną dla rządów Grecji oraz Turcji, aby za-



pobiec przejściu władzy w tych krajach przez komunistów. „Polityką Stanów Zjednoczonych musi być wspieranie wolnych społeczeństw, które opierają się próbom podporządkowania ich przez uzbrojone mniejszości lub opierają się presji zewnętrznej” – podkreślił prezydent w przemówieniu do obu izb Kongresu. Założenia te stały się fundamentami nowej strategii, nazwanej doktryną Trumana.

Amerykańska opinia publiczna potraktowała ją jako rewolucyjną zmianę. „Stany Zjednoczone miały dostarczyć w okresie powojennym – i to w trybie interwencyjnym – dość znaczną pomoc finansową krajom europejskim. Uczynienie tego oznaczać by miało zerwanie z doktryną Monroego. Wprawdzie Stany odeszły od niej już dwukrotnie – uczestnicząc w I i II wojnie światowej – ale uczyniły to tylko w sytuacji wyjątkowej, a i to po pewnym okresie wyczekiwania i przygotowań” – podkreśla Krzysztof Michałek w opracowaniu „Doktryna Trumana: błąd w politycznej kalkulacji czy próba nowego podejścia do bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych?”. To, co postulował Kennan, stawało się rzeczywistością. Ale wraz z przyspieszeniem biegu wydarzeń Departament Stanu coraz bardziej potrzebował dobrego planu na przyszłość dla całej Europy.

Kasandryczny obraz

Dwa lata od zakończenia II wojny światowej miasta na Starym Kontynencie

nadal leżały w gruzach. W tych, które ominęły zniszczenia, szerzyły się nędza i głód. Miliony mieszkańców pozostawały bez dachu nad głową i pracy, wielu nadal żyło w obozach dla uchodźców. We Francji i w podzielonych na strefy okupacyjne Niemczech produkcja przemysłowa wciąż była o połowę niższa niż w 1939 r. Pomimo olbrzymich złóż węgla stale występowały niedobory, co skutkowało problemami z dostawami prądu i ogrzewaniem zimą. We Francji i Włoszech upadały kolejne demokratyczne rządy, a wyborcze zwycięstwa zaczęły odnosić zapatrzeni w Związek Radziecki komuniści. Na początku 1947 r. lojaliści Moskwy sfałszowali wybory w Polsce, a poprzez represje i mordy wyeliminowali z życia politycznego ostatnią partię opozycyjną – Polskie Stronnictwo Ludowe. Wśród krajów Europy Środkowej tylko w Czechosłowacji przetrwały resztki demokracji, choć również ona nie miała zbyt wiele czasu na cieszenie się swobodami. Tak jak przewidywał Winston Churchill w przemówieniu wygłoszonym 5 marca 1946 r. w Fulton, „od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Morzem Adriatyckim zapadła żelazna kurtyna, dzieląc nasz kontynent”.

Głęboki kryzys w Europie otwierał przed Stalinem możliwość ekspansji. Stany Zjednoczone, których udział w II wojnie światowej przesądził o pokonaniu hitlerowskich Niemiec, nie mogły pozwolić na to, by kolejne mocarstwo przejęło kontrolę nad Starym Kontynentem i zagroziło ich interesom. Dlatego wiosną 1947 r. Departament Stanu pod



FOT. RADA EUROPEJSKIEJ

Podpisanie traktatu paryskiego, które ustanowiło Europejską Wspólnotę Węgla i Stali (EWWiS), 18 kwietnia 1951 r.

wodzą gen. George'a Marshalla i jego zastępcy Deana Achesona gorątkowo szukał odpowiedzi na pytanie: Co robić?

Powagę sytuacji uświadomiło im memorandum z 27 maja 1947 r., sporządzone przez podsekretarza stanu ds. gospodarczych Williama Claytona, który od dłuższego czasu podróżował po Starym Kontynencie. Dokument zawierał „kasandryczny obraz Europy, z trudem próbującej podnieść się po zniszczeniach wojennych i której fatalny stan kondycji był dotąd niedoszacowany. Autor podkreślał znaczenie rozpadu dotychczasowych struktur gospodarczych, skutki nacjonalizacji gałęzi przemysłów, drastyczne reformy rolne, zerwanie wieloletnich więzi handlowych, zapaści nowoczesnego podziału pracy” – pisze Kowalski w monografii „Plan Marshalla”. „W memorandum pojawiła się konstatacja, że Europa znajdowała się na granicy wybuchu rewolucji” – dodaje.

W trybie nadzwyczajnym w Departamencie Stanu powołano grupę analityków – Policy Planning Staff (Zespół Planowania Polityki) – na której czele stanął George Kennan. Jego zadaniem było jak najszybsze przygotowanie planu uratowania Europy. „Dopiero kilka dni temu Zespół Planowania, dysponujący niepełnym i tymczasowym składem, mógł zacząć zajmować się merytoryczną stroną swojej pracy. Normalnie uznałbym to za zdecydowanie zbyt krótki czas na rozważanie i formułowanie rekomendacji w tak ważnych sprawach” – tymi słowami Kennan rozpoczął swój pierwszy raport

(„Memorandum PPS/1”), przekazany 23 maja 1947 r. na biurko Achesona. „Rozumiem jednak, że potrzeba opracowania programu działań w tym zakresie jest pilna, a najlepsza odpowiedź, jakiej możemy dzisiaj udzielić, jest być może użyteczniejsza niż bardziej dogłębne studium za miesiąc lub dwa” – podsumował.

Dobry opiekun

Zespół Planowania Polityki zalecił, by Stany Zjednoczone zaoferowały krajom europejskim szeroką pomoc, która postawi ich gospodarki na nogi. Jednocześnie proponowano, by uzależnić ją od pożądaných zmian politycznych, których efektem będzie zjednoczenie państw wokół wspólnych inicjatyw gospodarczych służących odbudowie i rozwojowi. Kennan i jego zespół sugerowali też, by USA unikały afiszowania się z rolą promotora projektu. „Formalna inicjatywa musi wyjść z Europy; program musi być rozwijany w Europie; a Europejczycy muszą ponosić za niego główną odpowiedzialność. Rola nasze-

go kraju powinna polegać na przyjacielskiej pomocy w opracowaniu programu europejskiego oraz na późniejszym wspieraniu takiego programu finansowo i innymi środkami, na prośbę Europejczyków” – przekonywał Kennan. „Program, o którego wsparcie proszony jest nasz kraj, musi być programem wspólnym, uzgodnionym przez kilka państw europejskich. Może być powiązany z indywidualnymi programami krajowymi, takimi jak plan Monneta we Francji” – dodawał. W „Memorandum PPS/1” wielokrotnie podkreślono, że to Europejczycy muszą wziąć odpowiedzialność za przygotowanie programów pomocowych i integracyjnych oraz ich realizację. USA będą je do tego dyskretnie nakłaniać za pomocą ekonomicznych i politycznych narzędzi. W podsumowaniu Kennan stwierdza: „Musimy jednak nalegać (...), aby inicjatywa została podjęta w Europie, a jej główny ciężar poniosły tamtejsze rządy”.

Dwa tygodnie po powstaniu raportu George Marshall postanowił wygłosić przemowę o tym, jak Stany Zjednoczone mogą wesprzeć Europę. Okazją była ceremonia wręczenia mu doktoratu honoris causa Uniwersytetu Harvarda. „Acheson nie był zachwycony i sprzeciwił się wystąpieniu w tych okolicznościach, gdyż «mów z okazji wręczenia dyplomów nikt nie słucha»” – pisze Kowalski. Marshall postawił na swoim. 5 czerwca 1947 r. wygłosił historyczne przemówienie, które zawierało najważniejsze punkty „Memorandum PPS/1” – włącznie z tym, że to Europejczycy powinni wyjść z inicjatywą, a USA ograniczyć się do roli dobrego opiekuna, który wesprze każdego chętnego do przejścia „skutecznej kuracji”. Na koniec sekretarz stanu zadeklarował: „Nasza polityka nie jest skierowana przeciwko jakemukolwiek państwu czy doktrynie, lecz przeciwko głodowi, biedzie, beznadziei i chaosowi”.

Przemówienie na Harvardzie było spektaklem politycznym. „Z wielką uwagą śledziłem jego (Marshall – red.) wystąpienie i byłem zadowolony, że nie usłyszałem nic prócz oczywistości. Prawdopodobnie takie wrażenie odnieśli też inni, w tym szefowie rządów europejskich” – wspominał obecny na miejscu znakomity historyk Richard Pipes. „Przemówienie z czerwca 1947 r. może być dziś zaliczone do najważniejszych wystąpień publicznych XX w. Jednak kiedy było wygłaszane, nie wywołało takiego wrażenia” – dodał. Stało się tak, bo sekretarz stanu kłamał jak z nut – wedle zaleceń Kennana.

Ratunek w zjednoczeniu

W ramach European Recovery Program, powszechnie nazywanego Planem Marshalla, państwa Europy Zachodniej otrzymały od Ameryki pomoc w wysokości 13,3 mld dol. (dziś byłoby to prawie 150 mld dol.). Nie była to oszałamiająca kwota, ale wystarczająca, by zainicjować historyczny przełom. Wszystko, co do niego doprowadziło, nie znalazło się w przemówieniu Marshalla. Władze Stanów Zjednoczo-

nych narzuciły Europejczykom twarde warunki, które spowodowały, że Stalin zakazał krajom sowieckiej strefy wpływów uczestnictwa w Planie Marshalla. Beneficjenci amerykańskiej pomocy musieli przystąpić do utworzonej w kwietniu 1948 r. Organizacji Europejskiej Współpracy Gospodarczej (OEEC) i wspólnie opracować plany odbudowy, które musiały być zaakceptowane przez nową agencję USA: Administrację Współpracy Gospodarczej (ECA). Jej szefa Paula G. Hoffmana osobiście wskazał prezydent Truman.

W kwietniu 1949 r. powołano NATO, a miesiąc później powstała mająca promować demokrację i praworządność Rada Europy. Gdy wszystkie elementy układanki były gotowe, 9 maja 1950 r. francuski minister spraw zagranicznych Robert Schuman przedstawił opracowany przez jego zaufanego doradcę Jeana Monneta plan pogłębienia europejskiej współpracy, który zakładał integrację państw zachodnich wokół Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (EWWiS).

Monnet przez wiele miesięcy konsultował swoją koncepcję z amerykańskim ambasadorem w Paryżu Davidem Bruce'em, który na bieżąco informował o postępach Waszyngton. Jego depesze i inne dokumenty Departamentu Stanu dotyczące Monneta zebrano i wydano w 2006 r. w zbiorze zatytułowanym „Jean Monnet American Sources”. Ekonomistę, który podczas wojny należał do Francuskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego pod wodzą gen. Charlesa de Gaulle'a, wypromował James Forrestal. W latach 30. dzięki wsparciu Monneta sekretarz marynarki wojennej odnosił sukcesy na Wall Street (wspólnie zarządzali funduszami wielu wpływowych spółek). Za sprawą Forrestala Francuz zaprzyjaźnił się z braćmi Johnem Fosterem Dullesem i Allenem Dullesem, wpływowymi republikańskimi politykami – pierwszy z nich w latach 50. został sekretarzem stanu, a drugi szefem CIA. Również demokrata Dean Acheson wysoko cenił Monneta (poznali się jeszcze przed wybuchem wojny). „To właśnie Acheson zmobilizował amerykańskie poparcie dla EWWiS, a dzień po ceremonii inauguracyjnej oświadczył, że Ameryka będzie współpracować ze Wspólnotą we wszystkich sprawach dotyczących węgla i stali” – czytamy w „Jean Monnet American Sources”.

Monnet miał też silne poparcie ze strony Amerykańskiego Komitetu na rzecz Zjednoczonej Europy (ACUE), który w 1948 r. powołała CIA. Oficjalnie fundusze na jej działalność przekazywały Fundacja Forda i Fundacja Rockefellera. Jednak ACUE zarządzał z fotela wiceprezesa Allen Dulles. Każdy, kto chciał wspierać integrację europejską, mógł liczyć na hojne granty.

Trzy lata po „długim telegramie” Kennana kraje objęte Planem Marshalla odnotowywały wzrost produkcji przemysłowej i spadek bezrobocia. Groźba głodu i rewolucji zniknęła. USA przez dekady czerpały korzyści z integracji europejskiej bez angażowania w nią olbrzymich środków. Donald Trump nie jest już jednak zainteresowany inwestowaniem w projekt, którego katalizatorem była Ameryka. ©

KOMUNIKAT

**Prezes Samorządowego Kolegium Odwoławczego
w Krakowie**

ogłasza konkurs na kandydatów na pozaetatowych członków samorządowego kolegium odwoławczego

I. Kandydaci przystępujący do konkursu na pozaetatowych członków kolegium powinni spełniać następujące kryteria:

- posiadanie wykształcenia wyższego,
- posiadanie obywatelstwa polskiego i korzystanie z pełni praw publicznych,
- wykazywanie się wysokim poziomem wiedzy prawniczej w zakresie administracji publicznej oraz doświadczeniem zawodowym,
- brak skazania prawomocnym wyrokiem sądu, orzeczonym za przestępstwo popełnione z winy umyślnej,

II. Oferty kandydatów powinny zawierać:

- uzasadnienie przystąpienia do konkursu,
- kwestionariusz osobowy,
- życiorys z opisem przebiegu pracy zawodowej,
- odpis dyplomu oraz inne dokumenty potwierdzające dorobek i kwalifikacje zawodowe.

Oferty wraz z dokumentami kandydaci powinni składać w siedzibie kolegium, w zamkniętych kopertach z dopiskiem:

KONKURS NA CZŁONKÓW SAMORZĄDOWEGO KOLEGIUM ODWOŁAWCZEGO

pod adresem: Samorządowe Kolegium Odwoławcze
w Krakowie, ul. Juliusza Lea 10, 30-048 Kraków

Termin składania ofert – 14 dni od daty ukazania się ogłoszenia.

Dodatkowe informacje i wzór kwestionariusza osobowego znajdują się w Biuletynie Informacji Publicznej SKO w Krakowie

Prezes SKO w Krakowie
Joanna Sapeta

AUTOPROMOCJA

Przygotuj się do zmian w podatkach 2026



W poradniku m.in.:

- Podatek minimalny w 2026 r.
- Nowe zasady w podatku od przerzucanych dochodów
- Ukryte zyski po nowemu
- Nowelizacja definicji małego podatnika i podmiotu rozpoczynającego działalność
- Ewolucja w JPK CIT
- System e-faktur i zmiany w kasach rejestrujących
- Ceny transferowe po przekształceniach



Kup sklep.infor.pl

Publikacja przygotowana
przez ekspertów:



Kultura

Witajcie w raju

Ostatecznie w „Jednej” padają pytania o to, co w sobie, jako ludziach, cenimy najbardziej. Czy naszej autonomii nie konstytuują złość, upór, mizantropia, nieufność?

Piotr

Kofta

Rzadko piszę na tematy niezwiązane bezpośrednio z literaturą, ale w wypadku serialu „Jedyna” chodzi właściwie o literaturę wyrażoną innymi środkami. Stworzona przez Vince’a Gilligana (znanego z takich przedsięwzięć telewizyjnych jak „Breaking Bad” czy „Zadzwoń do Saula”) „Jedyna” to w zasadzie jednocześnie zajmująca narracja filmowa i – nader książkowy – esej filozoficzny. Zresztą Apple TV zaczyna się w pewnym sensie specjalizować w tego rodzaju przedsięwzięciach, bo zarówno „Fundacja”, jak i „Silos”, a przede wszystkim znakomite „Rozdzielenie” dają się również interpretować jako społeczne i filozoficzne gry z historią, utopizmem czy zagadką świadomości.

Czuć wściekłość

Zacznijmy od tytułu. Polska „Jedyna” nie zawiera w sobie ani grama stosownego sarkazmu, który przekazuje wersja amerykańska, „Pluribus”. Jest to, rzecz jasna, fragment łacińskiej sentencji założycielskiej Stanów Zjednoczonych: „E pluribus unum” (z wielu jeden). Z wielu stanów jedno państwo. Jeden naród z wielu narodów. Jeden superczłowiek z wielu ludzi? Twórcy serialu potraktowali tę metaforę dosłownie.

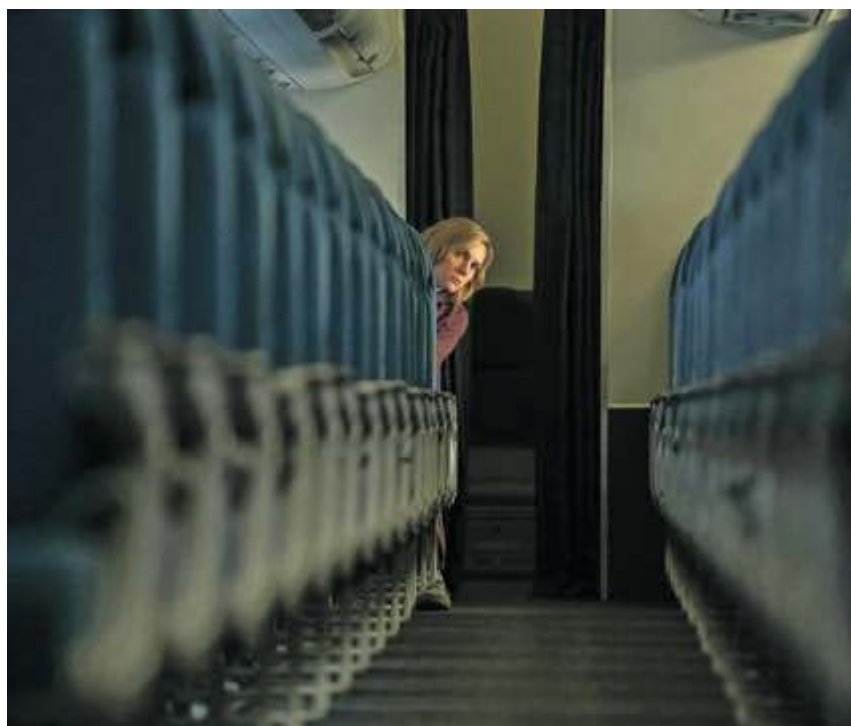
Oto bowiem ziemskie radioteleskopy wyłapują z przestrzeni kosmicznej osobliwy sygnał, który okazuje się zakodowaną sekwencją DNA. Laboratoria syntetyzują ową sekwencję, a otrzymaną substancję testują w sterylnych warunkach na myszach. Zgodnie z regułami gatunku – dystopijnego kina katastroficznego – dochodzi naturalnie do kontaminacji: mysz gryzie laborantkę w paluszek, laborantka wpada w katatoniczne drgawki, potem zaś budzi się jako inna osoba. Od niej zaczyna się nieprzerwany łańcuch zakażeń, w wyniku którego zdecydowana większość ludz-

kości doznaje przemiany. Typowy schemat fabularny zakładałby zombifikację, ale tu postanowiono inaczej: ludzie tracą indywidualną autonomię i łączą się w jeden ponadjednostkowy byt, zostają przy tym zainfekowani szczególnego rodzaju kodeksem etycznym, który zakazuje im zabijać i kłamać. W nagrodę przestają cierpieć – są bezgranicznie spokojni, szczęśliwi i wolni od ciężaru osobowości.

Tylko 13 osób na całej planecie nie poddało się przemianie – nie wiadomo, jaki mechanizm biologiczny o tym zdecydował. W każdym razie jedną z tych osób jest Carol Sturka, mieszkanka Albuquerque („Breaking Bad” także kręcono w tym mieście) w amerykańskim Nowym Meksyku, równie zamożna, co sfrustrowana pisarka w średnim wieku. Sturka seryjnie publikuje tandetne powieści romantasy, gardzi swoimi fanatycznymi czytelnikami i sobą właściwie też – jak wielu chałturników ma poczucie, że rozmienia się na drobne. Dobrym duchem Carol jest jej agentka, a zarazem życiowa partnerka, Helen. Problem w tym, że Helen nie przeżywa kosmicznej infekcji i umiera na oczach Carol. Carol ma więc kolejny powód, by czuć się wściekła i nieszczęśliwa – nie licząc, oczywiście, końca świata (więcej szczegółowych spoilerów nie będzie – mówimy na szczęście o pierwszym kwadransie całego serialu).

Czy to w ogóle ludzie?

Dziewięć odcinków pierwszego sezonu „Jednej” to nade wszystko historia konfrontacji Carol z nowym porządkiem rzeczywistości. Nowa ludzkość jest miła, Carol jest niemiła, obcesowa, niewdzięczna, agresywna. Nowa ludzkość oferuje dary, niczego za to nie żądając, ale wiemy przecież, że reguła odwzajemnionego daru to jedna z najsilniejszych norm społecznych: scenarzyści serialu prowokują widza, gdy naburmuszona Carol bierze, co dają, ale nie oferuje nic w zamian, nie okazuje nawet wdzięczności. A może jednak nie jesteśmy yo-



FOT. JEFF NEUMANN/APPLE TV-7/BE&W

„Jedyna” (oryg. Pluribus),
Apple TV, USA 2025

bowiązani do rewanżu wobec istot, co do których nie jesteśmy pewni, czy w ogóle są ludźmi?

„Jedyna” jest niezwykle pojemną metaforą. Można ją interpretować na wiele sposobów. Tym, co zwraca uwagę od samego początku, jest umiejętnie rozegrane napięcie między dystopią a utopią – bo owszem, stary świat trafił szlag, ale to, co przyszło w jego miejsce, nie wydaje się jednoznacznie złe. W pewnym sensie twórcy „Jedynę” bawią się motywami zaczerpniętymi z dziejów pierwszych chrześcijańskich wspólnot i wszystkich późniejszych, idealistycznych prób powrotu do stanu pierwotnej, ewangelicznej czystości. Ludzkość po przemianie nie tylko przestrzega większości biblijnych przykazań (na zasadzie, jak mówi sama o sobie, „biologicznego imperatywu”), lecz także mówi prawdę, nie zna własności prywatnej, nie stosuje przemocy, żyje zgodnie z ideałem absolutnego egalitaryzmu, kocha wszystkich i wszystko.

Wspaniale jest tu zawieszenie między tonem serio a zjadliwą ironią: mejsjanistyczne religie uniwersalne projektują nam przecież analogiczne wizje rajy – chcieliśmy i po części nadal chcemy w nie wierzyć – ale gdy przychodzi co do czego, jakoś (niechętnie) solidaryzujemy się z rozjuszoną Carol, która za żadne skarby nie chce rzucić swojego indywidualnego bytu na pastwę globalnej miłości. Podobnie zresztą jak chrześcijaństwo owa inicjatywa ma charakter misyjny – należy przypuszczać, że Ziemia stanowi tylko pojedynczy paciorek kosmicznego różańca. A zatem owszem, inwazja porywaczy ciał. Ale my w sumie znamy tych porywaczy.

Da się analizować „Jedyną” też przez pryzmat czysto amerykańskich, wolnościowych lęków. Tamtejszy indywidualizm zostaje skonfrontowany z wizją skrajnego kolektywizmu, w którym pojedyncze osobowości po prostu ulegają roztopieniu. A może kreatorzy serialu pozwolili sobie na złośliwą satyrę wymierzoną w trumpistowską propagandę, ukazującą Unię Europejską jako totalitarne imperium, trzymające

swoich mieszkańców w niewoli przepisów i zakazów?

Innym kluczykiem, który otwiera ten serial, jest kwestia AI – zgodnie z tym spojrzeniem, „Jedyna” byłaby historią o człowieku konfrontującym się z osobliwością technologiczną, czyli takim momentem w rozwoju sztucznej inteligencji, w którym zaczyna ona przewyższać ludzkość intelektualnie i sterować postępowaniem zgodnie z własną, wewnętrzną logiką, niepojętą dla białokowych obserwatorów. Coś w tym jest – sposób, w jaki komunikują się zainfekowani bohaterowie „Jedynę”, bardzo przypomina ugrzeczniony, znormalizowany ton, charakterystyczny dla LLM-ów (Large Language Models – Dużych Modeli Językowych). I – podobnie jak w wypadku LLM – zawsze mówią oni to, co chcesz usłyszeć. Masz więc do czynienia z istotą, która brzmi jak człowiek, stara się może nawet bardziej niż człowiek, ale nie jest człowiekiem.

Co nas napędza?

Ostatecznie w „Jedynę” padają pytania o to, co w sobie, jako ludziach, cenimy najbardziej. Co jest samym jądrem naszego jestestwa? Czy aby naszej autonomii nie konstytuują i nie strzegą cechy oraz zachowania negatywne: złość, upór, mizantropia, nieufność?

Główna bohaterka krąży po opustoszałym Albuquerque, miasto jednak nie pogrąża się w rozkładzie, lecz trwa. Są to obrazy jak z proroczych snów introwertyka, który zamarzył sobie, żeby ludzie wreszcie przestali mu przeszkadzać w kontemplacji pejzażu. Puste miasto wszelako traci charakter ożywionej przestrzeni, zaczyna przypominać naprędcę ustawione, martwe dekoracje. Stąd przypuszczenie, że ta historia o ostatnim człowieku (sfilmowana niemal w 200-lecie publikacji pierwszej postapokaliptycznej powieści w dziejach, czyli „Ostatniego człowieka” Mary Shelley) jest w istocie historią o etapach żałoby. ©



Eukasz

Wilkiewicz

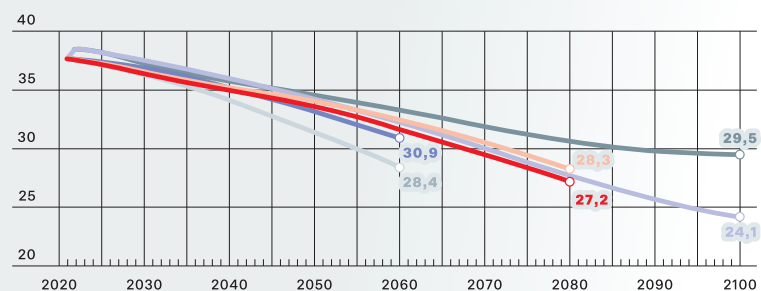
Prognozy demograficzne ciągle w dół

Nowa projekcja ZUS dotycząca kondycji funduszu emerytalnego wskazuje, że w relacji do PKB w długim terminie nastąpi... poprawa. W 2026 r. deficyt funduszu emerytalnego ma wynieść 2,4–2,7 proc. PKB. Najgorzej będzie w okolicach 2055 r., kiedy będzie to 2,4–3,8 proc. PKB. Ale w 2080 r. ujemne saldo powinno mieścić się w przedziale 1,2–2,9 proc. W tego typu symulacjach wiele zależy jednak od założeń. Dokument ZUS pozwala zapoznać się m.in. z nową prognozą demograficzną resortu finansów. Szacowaną liczbę ludności Polski w porównaniu z poprzednią prognozą z 2022 r. obniżono o milion. Ścieżka jest zbliżona do ostatniej (z 2023 r.) projekcji Eurostatu, ale w scenariuszu zakładającym brak napływu migrantów. ©

Prognozy demograficzne dla Polski

(Ludność w mln)

- Eksperymentalny GUS 2025: niska dzietność
- Eurostat 2023: scenariusz bazowy
- Eurostat 2023: bez uwzględnienia migracji
- Oficjalny GUS 2022*
- MF: prognoza demograficzna 2022
- MF: prognoza demograficzna 2025



Źródło: MF za: ZUS, GUS, Eurostat

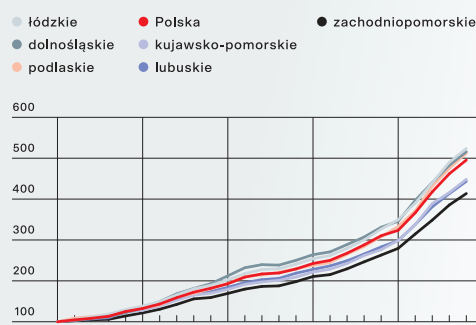
* prognoza ludności na lata 2023–2060

LR ©

Kto rósł najszybciej

Cztery województwa odpowiadają za ponad połowę PKB Polski. W 2024 r. woj. mazowieckie, śląskie, wielkopolskie i dolnośląskie wypracowały PKB o wartości 1,95 bln zł. To 53,5 proc. wyniku kraju. Dane GUS to dobra okazja, by popatrzeć

PKB na mieszkańca
(2000=100, ceny bieżące)



Źródło: GUS

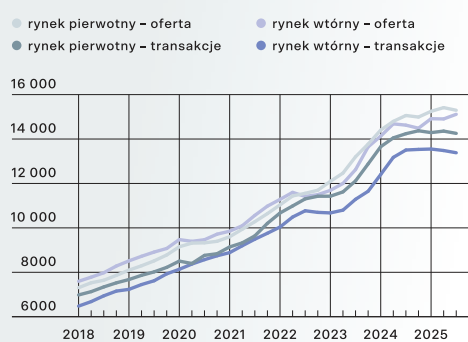
LR ©

jak wygląda tempo rozwoju gospodarczego poszczególnych regionów. Jeśli za punkt wyjścia potraktować rok 2000, to dane o PKB na mieszkańca w cenach bieżących pokazują, że najszybciej rosło bogactwo woj. łódzkiego. Tam PKB per capita w 2024 r. był o ponad 420 proc. wyższy niż u progu wieku. Na drugim biegunie znalazło się zachodniopomorskie, gdzie wzrost wyniósł nieco ponad 310 proc. ©

Gdzie ceny mieszkań idą w dół

Nowe dane NBP sugerują, że chociaż okres wzrostów cen nieruchomości już się skończył, to deweloperzy zdają się bronić przed spadkami trochę lepiej niż sprzedający mieszkania na rynku wtórnym. Średnie ceny transakcyjne na rynku pierwotnym w siedmiu największych miastach były w III kwartale 2025 r.

Średnie ceny mieszkań
w siedmiu największych miastach (zł za 1 mkw.)



Źródło: NBP

LR ©

o 0,1 proc. wyższe niż rok wcześniej. Na rynku wtórnym odnotowano spadek o 0,9 proc. – to pierwsza taka sytuacja od dziewięciu lat. Trend dotyka zwłaszcza największe krajowe metropolie. Ceny transakcyjne niższe niż rok wcześniej odnotowano w Warszawie (-3 proc.) oraz Krakowie, Poznaniu i we Wrocławiu (po -2 proc.). ©



FOT. WOJTEK GORSKI

Steve Miran, ekonomista roku 2025

Rafał Woś

Nawet mnie samemu niełatwo w to uwierzyć: już od 12 lat przyznaję o tej porze i w tym miejscu tytuł ekonomisty roku. To ranking autorski i subiektywny. Wyróżniam w nim autorów prac i badań, które powiedziały nam ostatnio o ekonomii coś nowego oraz inspirującego.

W 2025 r. takim ekonomistą był Steve Miran, główny doradca ekonomiczny Donalda Trumpa, a od września jeden z gubernatorów Fedu, czyli, przekładając na nasze realia – członek tamtejszej Rady Polityki Pieniężnej oraz zarządu banku centralnego.

Do prac Mirana zajrzeć muszą ci, którzy chcą zrozumieć, jaki jest ekonomiczny plan stojący za prowadzoną przez Trumpa polityką celną. Ekonomista wyłożył jego solidne podstawy w głośnej pracy opublikowanej tuż przed powrotem republikanów do Białego Domu, a uważny czytelnik tej kolumny pamięta zapewne, że rozbrajałem ten tekst w tym miejscu na czynniki pierwsze. Również po to, by pomieszać w kartach tym wszystkim, którzy ukontentowali się wygodnym (ale kompletnie nieprawdziwym) przekonaniem, że Trumpowa polityka celna jest działaniem chaotycznym, sprzecznym i pozbawionym planu.

Miran wyjaśnia, że prawdziwym źródłem największych strukturalnych problemów Ameryki jest zbyt silny dolar. A jest zbyt silny, bo jest walutą rezerwową świata, to zaś sprawia, że popyt na niego nie maleje. W efekcie USA tkwią w pułapce. Z jednej strony pełnią wobec świata rolę hegemonu odpowiedzialnego np. za militarne bezpieczeństwo krajów NATO. Z drugiej nawet partnerzy z NATO (Europa i inni) korzystają na drogim dolarze, który sprawia, że amerykańska gospodarka więcej kupuje, niż sprzedaje. Efektem tego ostatniego jest chroniczny deficyt obrotów handlowych, który podważa reputację Ameryki.

Donald Trump wziął od Mirana tę analizę i, przekładając na język zrozumiały dla każdego, zaczął mówić o „podwójnym zdzierstwie”, którego USA doświadczają od reszty świata. Cała jego dalsza polityka zagraniczna (od ceł do nacisków na Europę, by wzięła na siebie odpowiedzialność za wydatki wojskowe) wynika z tej analizy. Również koncepcja układu z Mar-a-Lago, czyli upragnionego celu w postaci nowej międzynarodowej konferencji poświęconej relacjom handlowym Ameryki z jej handlowymi partnerami, to pomysł wynikający z wniosków, do których doszedł Miran. Doprawdy nieczęsto się zdarza, by prace ekonomiczne miały tak duże przełożenie na politykę gospodarczą o znaczeniu globalnym.

Na koniec, wzorem lat poprzednich, przypominam dawnych laureatów konkursu. To ważne, bo choć wiele się wokół zmienia, to ta kolumna trzyma dla swoich wiernych czytelników rękę na pulsie debaty ekonomicznej. I to już od tylu lat.

- 2024** – Michael Pettis, który pokazuje, że źródłem napięć geopolitycznych są nierównowagi handlowe
- 2023** – Diego Känzig za badania związków nierówności z polityką klimatyczną, z których wynika, że system ETS najmocniej uderza w najuboższe gospodarstwa
- 2022** – Adam Tooze za dogłębne objaśnianie rzeczywistości kryzysu surowcowego po wybuchu wojny w Ukrainie
- 2021** – Claudia Sahm, Servaas Storm oraz Enzo Rossi za badania nad procesami inflacyjnymi
- 2020** – Pavlina Tcherneva za książkę „W sprawie gwarancji zatrudnienia”, w której pokazała, jak można w warunkach realnego kapitalizmu wybić zęby potworowi bezrobocia
- 2019** – Stephanie Kelton i Pavlina Tcherneva, propagatorki nowoczesnej teorii pieniężnej, oraz Abba Lerner, niezjący prekursor finansów funkcjonalnych
- 2018** – Karol Marks za to, że wiele jego analiz ekonomicznych wręcz zyskuje na aktualności
- 2017** – Anthony Atkinson, Simcha Barkai i Branko Milanović za badania nad różnymi twarzami współczesnych nierówności
- 2016** – Dani Rodrik za krytykę neoliberalnego podejścia do zjawiska globalizacji
- 2015** – Janis Warufakis za heroiczną (choć nieudaną) próbę wykorzystania doświadczeń heterodoksyjnego ekonomisty w pracy ministra finansów Grecji
- 2014** – Thomas Piketty za rozpoczęcie „Kapitałem w XXI wieku” wielkiej debaty o nierównościach ekonomicznych
- 2013** – Michał Kalecki za pionierskie prace, które po kryzysie w 2008 r. stały się inspiracją dla współczesnych ekonomistów na całym świecie ©

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Kto zyska na przejrzystości wynagrodzeń

Czas zapytać, czy większa przejrzystość sprawia, że luka płacowa się zmniejsza?

Lucas

van der Velde

Autor jest ekonomistą GRAPE

Dyrektywa UE 2023/970 zobowiązuje firmy do obliczania oraz podawania – także publicznie – informacji o luce płacowej między mężczyznami a kobietami. Ma to m.in. umożliwić pracownikom negocjowanie sprawiedliwszych wynagrodzeń, gdy występują różnice nie są uzasadnione. Dyrektywa musi być wprowadzona przez państwa członkowskie do czerwca, więc czas zapytać, czy większa przejrzystość sprawia, że luka się zmniejsza?

Zoe Cullen (Uniwersytet Harvarda) wskazuje m.in., że – paradoksalnie – przejrzystość płac może wzmocnić pozycję negocjacyjną pracodawców. Bo firmy mogą odmawiać indywidualnych podwyżek, twierdząc, że każda korekta siatki wynagrodzeń wymaga renegocjacji wysokości pensji całej danej grupy. Cullen przetestowała swoje wnioski na danych amerykańskich. I odkryła, że przejrzystość płac prowadziła do ogólnego spadku średnich wynagrodzeń, szczególnie dotkliwego dla najlepiej zarabiających, ale tylko w sektorach o słabej sile negocjacyjnej związków zawodowych.

W Europie mamy już regulacje podobne do dyrektywy 2023/970. W 2011 r. Austria zobowiązała duże

firmy do ujawniania różnic w wynagrodzeniach kobiet i mężczyzn, w tym do przekazywania tych danych radom zakładowym. Ale pracownicy nie mogą udostępnić raportów osobom spoza firmy. Andreas Gulyas (Uniwersytet w Mannheimie), Sebastian Seitz (ZEW – Leibniz-Zentrum für Europäische Wirtschaftsforschung) i Sourav Sinha (Uniwersytet Yale) zbadali wpływ tej polityki na wynagrodzenia, korzystając z danych podatkowych. Nie znaleźli dowodów na wyrównanie płac. Przyczyny? Po pierwsze, różnice mogą być zbyt małe, by wywołać reakcję. Po drugie, to, że raporty były poufne, oznaczało, że firmy nie ponosiły publicznej odpowiedzialności: ani nie spotykała ich burza medialna za oferowanie nierównych wynagrodzeń, ani nie były chwalone za osiągnięcie równości. Ponadto potencjalni kandydaci nie mogli wykorzystać tych informacji podczas poszukiwania pracy.

Z kolei od 2018 r. w Wielkiej Brytanii firmy zatrudniające ponad 250 pracowników muszą publikować średnią różnicę w wynagrodzeniach kobiet i mężczyzn. Przepisy miejscowego prawa są liberalniejsze niż zapisy dyrektywy 2023/970 – wymagana jest jedynie publikacja

danych, nie przewiduje się kar za brak działań oraz nie rozróżnia między uzasadnionymi a nieuzasadnionymi nierównościami. Mimo tych ograniczeń badania Richarda Blundella (LSE), Emmy Duchini (Uniwersytet Essex), Ștefaniei Simion (Uniwersytet Bristolski) i Arthura Turrella (Bank Anglii) pokazują, że przejrzystość zmniejszyła lukę płacową ze względu na płęć – ale nie poprzez podniesienie niższych wynagrodzeń. Zamiast tego spowolniła wzrost płac najlepiej zarabiających, zazwyczaj mężczyzn. Zamiast podnieść płace wszystkich pracowników, polityka ograniczyła siłę negocjacyjną osób z najwyższymi zarobkami, co potwierdzają wyniki prac Cullen. Spadek był widoczniejszy w tych składnikach wynagrodzenia, które są uznaniowe, np. w premiach.

Czego możemy się spodziewać po pełnym wdrożeniu dyrektywy UE? Jak pokazują badania, to, czy przejrzystość płac zmniejszy nieuzasadnione nierówności, zależy od szczegółów wdrożenia polityki oraz od tego, jak wpływa ona na negocjacje płacowe między firmami a pracownikami. Z góry nie można jednoznacznie stwierdzić, czy większa przejrzystość przyniesie korzyści pracownikom. ©